

CZARNA PEREŁKA.

Powieść

przez B. Bolesławitę.

(CIĄG DALSZY)

Lenora milczała; oczy jej schły spieczone; słuchała tej mowy przerywanej, niewyraźnej, która się w nasze słowa ująć nie daje, dorozumiewała się jej raczej niż rozumiała...

W duszy biednej istoty rodziła się coraz gwałtowniejsza żądza nawrócenia tego człowieka zdziczałego wśród cywilizowanego świata, dźwigającego resztki barbarzyństwa odwiecznego, jakiejś innej pierwotnej, nie pojętej epoki.

Ojciec i dziecię stali od siebie przedzieleni lat tysiącami... ona cierpiała i umysł jej się błąkał, gdy spojrzała na tego starca skurczonego na ziemi, który czarne oczy iskrzące topił w niej badająco...

— Oni ciebie ubiją — rzekł po chwili — ja widział nie raz chowane niedźwiedzie i wilki... dopóki to młode i koziołki wywraca... to ich bawi, a potem w łeb lub na gałąź... Tak i z nami...

Lenora coraz boleśniej cierpiała, męczarnia ta malowała się na jej twarzy; siostra Felicya, litością zdjęta, spojrzała znacząco na cygana. Ale ten jakby nie rozumiał... iść mu się precz nie chciało od dziecka... patrzał na nie i napatrzyć się nie mógł.

— Jabym ją i wśród tysiąca poznał — mruczał — choćby ją nie wiem jak przebrali. Marana taka była za młodu... i taka i inna, ale nie wybielili jej tak w zamkniętej izbie... Te same oczy, te same usta... tylko śmielszy wzrok i krzyk. Ciebie nauczyli trwożno patrzeć i połowę bolu chować w sobie... Tamtę zabili łotry! Zabili... Jak się mścić nie mam. Ojca... powiesili... żonę zatłukli... dziad z ran umarł... brat zasieczony... a ja! i mnieć to czeka... i ją.

Siostra błagająco spojrzała...

— My dzieci nie pieścim — z pogardą odparł cygan — matka w dymie je wędzi i w śniegu kąpie, ojciec ćwiczy... aby się nauczyły cierpieć... U was sztuka wypieścić, aby potem muchy ukąszenie bolało jak rana! Albo to wy znacie co życie?

Począł głową kiwać i mruczeć już coraz niewyraźniej.

— Mój ojcze — odezwała się Lenora — jeśli wy mnie cokolwiek kochacie, cośbyście dla mnie zrobić powinni.

— Czy ja was kocham? Zara! Albo to ja wiem, czy ja kocham was? A za co bym ja cię kochał? żeś przylgnęła do tych, co nas smagają? Mnie miło popatrzeć na twarzyczkę twoję i Maranę przypomnieć!

Nie — nie — dodał — nie gniewaj się dziecko, stary się broni, żeby nie kochał, ale kocha... A miłowałby sto razy tyle, żebyś zrzuciła do ostatniego łachmana i poszła z nim...

Lenora przerażona spojrzała na niego.

— Nie! nie! — rzekł — to już zapoźno! chyba cię było im z rąk wyrwać, kiedyś była mała — teraz... darmo!

— Jeżelić wy mnie cokolwiek kochacie dla matki... porzućcie tę włóczęgę... bądźcie przy mnie.

Cygan począł się rzucać, śmiejąc na oba przechylając boki.

— Daj ty mi pokój — cicho! co ci w głowie... ptaka w klatkę posadzić, żeby prędzej zdechł? Wolę pod płotem jak matka a swobodny... Nie — nie...

— Zostań ze mną...

Dżęga głową trząsł — Nie — nie!... Przyjdę może; ale siąść! nie! nie! Ani ty mnie ani ja ciebie nie rozumiem... Ty myślisz, dziki zwierz, ja myślę, wyssana dusza... Nie — nie — ty płaczesz nademną, ja ciebie żałuję, mnie na uwięzi nie strzymasz...

Westchnął... począł myśleć, podniósł głowę powoli i mówił cicho.

— Wejdę do miasta jak w kocioł wrzątku... ludzie kipią... latają, oszukują się, okłamują, a jeden czatuje na drugiego... jak w górach. Tylko tam coś gada do duszy od gór, od chmur, od strumieni, od skał, a ja tu nic nie rozumiem... Jak się wsłucham w borowy szum... długo, zdaje się moim mówi językiem... mój brat... jak po deszczu z iglic polecą potoki z kamieniami... a poczną druzgotać drzewa i wywracać chaty... aż się serce raduje... a tu? ja i mowy nie chwytam. Obwinięta w złote powijacze, kości nie widać...

— Ale by ci spocząć czas... ojcze — odparła Lenora... i byłbyś przy mnie i ze mną, i odtęsknił byś się za górami, a nawykł tu.

— Oj! nigdy! nigdy! — rzekł cygan... mnie tu piecze...

I jakby się zląkł, żeby go nie zatrzymano gwałtem, potoczył wzrokiem, zerwał się z podłogi, kij wziął, sierměgę na koszulę zarzucił.

— Czas iść! — rzekł — dosyć tego gadania, ty za mną nie chcesz, ja z tobą nie mogę... bywajże zdrowa, dziecino!

— Nie — stanowczo wyciągając ręce ku niemu, zawołała Lenora — nie, ja ciebie nie puszczę, musimy mówić jeszcze... kto wie, co wielki duch natchnie...

Cygan ruszył ramionami — On się nie przebłaga, to darmo... on białe dzieci lubi.

— Przyjdziecie? — natarczywie podchwyciła Lenora. Stary się zawahał.

— Przyjdę — rzekł — ale mnie tu długo żyć duszno... Głową skinął i powoli tym samym krokiem jak wszedł, popowlókł się nazad do drzwi. Lenora jak przykuta pozostała na łożu płacząc razem z siostrą Felicyą.

Cicho powtarzała tylko jakby sama do siebie — Ojciec! ojciec!

Po niejakim czasie otarła oczy i zwolna zapragnęła wstać z łóżka nie mogąc wytrwać w nieruchomości. Widać było, że ją myśl jakaś gniotła i miotała nią, że z nią walczyła napróżno. Siostra namawiała do spoczynku i skłonić doń nie mogła. Było coś chorobliwej gorączki w tym ruchu gwałtownym, a zdradzającym chwilowo bezsilność.

Po godzinnem prawie bieganiu po pokoju, Lenora uklękła się modlić — zanurzyła twarz w dłoniach i pozostała tak długo, ukorzona, płacząca znowu. Siostrze Felicyi nie pozostawało nic oprócz troskliwego nadzoru nad znękaną...

Gdy wstała, była uśmiechniętą już i spokojniejszą...

— Prawda, siostrzyczko — rzekła łagodnie — że dzieci mają względem rodziców obowiązki, równie jak rodzice dla dzieci?... prawda, że poświęcenie dla nich przedewszystkiem iść musi, przed szczęściem, spokojem... i osobistemi marzeniami nadziei?... prawda siostrzyczko moja, że...

Zamilkła nagle, jakby się zlękła, ażeby ją nie odgadnięto... zamyśliła się, zapłonęła, pocałowała Felicyą i spytała znowu po chwili. — Wszak ja już jestem zdrową i silną?...

— Jesteś, kochana Lenoro, na drodze do wyzdrowienia i z pomocą Bożą siły odzyskasz, ale dziś jeszcze należy się szanować, nie poruszać zbytecznie ani sercem ani ciałem... i czekać łaski Bożej...

— Nie poruszać! — powtórzyła zadumana — a! jak ta rada serdeczna brzmi dziwnie, siostrzyczko moja; nie poruszać się ciałem, to zależy od człowieka — ale sercem?... jestże to w mocy ludzkiej?

— Potrosze — odpowiedziała siostra łagodnie — modlitwa daje ducha spokój...

— Módlmy się więc, siostro moja — rzekła Lenora — moja prośba nie wzleci pewnie ku niebu... ale twoja na skrzydłach zasług i świętości dójdzie tam pewniej; wesprzej mnie...

Uściskały się ze łzami...

Noc potem spędziła chora we śnie przerywanym jeszcze przypomnieniami modlitwy. Nazajutrz pragnienie zdrowia dodało jej siły... wstała rzeźwiejszą, prawie weselszą, a około południa tak krążyła chciwie przy fortepianie swym, iż uzyskała pozwolenie doktora zagrania na nim trochę. W tęsknych jakichś tonach, jakby wspomnieniach spiewów ludowych... rozlała się dusza spragniona, ze łzami na oczach grała i skończyła grę płaczem.

Siostra Felicya znajdowała, że ta gra zbytecznie na nerwy działała, zamknęła fortepian i schowała kluczyk do kieszeni. Lenora była posłuszna, poszła na łóżko z Naśladowaniem Chrystusa, po godzinie wstała do ręcznej roboty, i ku wieczorowi polepszenie zdrowia było widocznem. Z choroby została tylko jakaś gorączkowa żywość i niepokój...

Z polepszenia, o którem się u drzwi od Kasi dowiedział, skorzystał zaraz Zbigniew, który czatował dawno domagając się, aby go wpuszczono, i wszedł nieśmiały a trwożny. Zdala go zobaczywszy Lenora podała mu rączkę z uśmiechem.

— Widzisz, mój dobry panie Zbigniewie, że jestem więcej niż konwalescentką, bo prawie zupełnie zdrową — zawołała — to siostra Felicya tylko utrzymuje, iż jeszcze mi coś brakuje... ale ja się czuję zupełnie dobrze...

I wstała chwiejąc się nieco na nogach.

— No, mów pan, co się z wami dzieje! czy posłuchałeś doktora? czy rozpocząłeś studya?

— Ja? — spytał Zbigniew — ale miałżem ja cokolwiek bądź rozpoczynać, o czemkolwiek myśleć, widząc panią cierpiącą i chorą?...

Lenora spojrzała nań z rodzajem współczucia aż do politowania zbliżonem.

— Panie Zbigniewie — rzekła — rozumiem twe dobre serce... ale masz inne i daleko większe, a świętsze niż względem mnie obowiązki. Ja dla was jestem cieniem siostry przybranej, a matka!

— Pani — zawołał Zbigniew — pani dla mnie jesteś nie cieniem siostry, ale ideałem dobra, cnoty prześladowanej i piękności.

— Ideałem! — powtórzyła smutnie Lenora — a! kochany panie Zbigniewie, ja już jestem na tym życia szczeblu, z którego ideału nie widać. Są słabe ziemskie istoty... stąpające omackiem z mniej więcej dobrą wolą... Nie marz pan o ideałach... myśl o rzeczywistości.

— Możnaż nią wyżyć? — spytał cicho zbliżając się Zbigniew — powiedz pani sama, byłożby życie możliwem bez promieni ideału? Kto się może napaść do syta rzeczywistością i położyć spać... nie jest jeszcze człowiekiem. Iskierka Boża zdradza się w czci czegoś większego, niżeli świat dać może...

— Ale nie trzeba tej iskry oblekać w znikome ciało — odparła surowo Lenora — Upokarzasz mnie strojąc w tę szatę, której ja jestem nie warta...

I rozpłakała się cicho...

— A potem — dodała podnosząc nieco głos — ideał wcieliwszy w człowieka, kiedy się złudzenie rozpryśnie, traci się wiarę w ideały same. Dla tego trzeba je zostawić na gwiazdach...

Zbigniew stał milczący, słuchał a patrzał, i dosyć mu było. Z tych ust odebrać chłosty, jeszcze się szczęściem zdawało rozgorzałemu chłopcu...

Nagle wstała z łoża Lenora...

— Czy prędko będzie wiosna? — spytała — powiedz mi pan, czy prędko wiosna będzie?

— Jesteśmy wśród samej najsroższej zimy — odparł Zbigniew — ale dla czegóż pani mnie pytasz o to?

— Pragnę zieloności, wiosny, ciepła... jestem dziwaczką — odpowiedziała Lenora...

Zbigniew uważał ten zwrot rozmowy za umyślne odciągnięcie jej od pierwszego przedmiotu, a że bałwochwalczo pragnął zastosować się do woli swej pani, milczał nie wiedząc co mówić.

Siostra Felicya świadek, tej rozmowy, siedziała w kątku z książką, niekiedy ciekawie spoglądając to na chłopaka, którego cała postawa wyrażała uszanowanie i cześć, to na Lenorę, której twarz uśmiechała się współczuciem czystem, siostrzanem.

Zbigniew począł potem opowiadać o ogólnem usposobieniu umysłów, o podbudzonem życiu w kraju, o rozkwitających nadziejach... Rozmowa zwróciła się z tego na prześladowania Lenory i głos opinii publicznej w tej sprawie... Ile razy Zbigniew czulszą ją i więcej osobistą chciał uczynić, Lenora przeczuwając ten kierunek, wprowadzała go znowu na obojętniejsze jakieś opowiadanie...

Gdy się nieco poźno zrobiło... nie uspokojony wcale, nienasycony... młody chłopak musiał wreszcie odejść, chociaż i widzenie ideału i posłyszenie dźwięku jego głosu już dlań było szczęściem wielkiem; Lenora podprowadziła go do drzwi z życzliwością i uśmiechem weselszym, niż było usposobienie jej duszy — dała mu dobranoc, kazała się kłaniać matce i powróciła do siostry Felicyi zamyślona. Już miały po klasztornemu i wedle obyczajów szpitalu zacząć modlitwy wieczorne, gdy pani Laura, dla której wieczór świata wielkiego dopiero się rozpoczynał, wpadła wystrojona i pachnąca, jadąc na jakiś raut, aby swą protegowaną po drodze uścisnąć. Widząc Lenorę ubraną, stojącą przy łóżku, uderzyła w dłonie i głośno zawołała:

— A! to ślicznie, Lencia zdrowa!... a jak tylko wyzdrowieje tak, że doktor pozwoli wychodzić... daję wieczór. Lord się o to doprasza, wszyscy przyjaciele znajomi i nieznajomi błagają... Lencia będzie miała sukces... kolosalny!!

— Droga pani — całując ją w ramię odpowiedziała cyganka — twe dobre serce może go dla mnie pragnąć; ale gdy sobie pomyślisz trochę... uwolnisz mnie biedną od tej teatralnej exhibicyi nieszczęśliwej ofiary prześladowania. Żebrać współczucia, oklasków, obchodzić tryumfy... a! daruj, nie potrafię.

Laura ruszyła ramionami.

— No, no! o tem potem, jeszcze nerwy poruszone... apeluję do uspokojonych, ale się nie wyrzekam... Ciekawość powszechna podbudzona... niesłychanie... każdy widzieć cię, mówić, zbliżyć się pragnie...

— Pani droga!! jak niegdyś pierwszą żyrafę — dodała Lenora — tacy są ludzie! Pierwszy lepszy Rappo lub Pastrana lepiej nademnie zaspokoiliby tę ciekawość.

— No, więc nie mówmy o tem. Przybyłam tylko mego kochanego kotka pocałować, zobaczyć co się dzieje, uściskać dobrą siostrę Felicyą... spytać, czy czego nie potrzeba... oddać ukłon pełen poszanowania od Lorda (między nawiasami wszyscy ci go zazdroszczą) i... uciekam...

Na wspomnienie Lorda zarumieniła się Lenora, a pani Laura to postrzegła natychmiast i zanotowała po cichu — ale nie dała poznać po sobie.

Pożegnały się. Przyjaciółka siadła do powozu zaintrygowana tym rumieńcem i zamyślona dziwnie.

Że mu się mogła podobać! — myślała — to nic dziwnego, każdemu potrafi głowę zawrócić, nie wiele jest kobiet podobnych... ale z tego nic być nie może!! Lord się z nią przecie nie ożeni... chyba morganatycznie; cożby powiedziała ro-

dzina spokrewnioną z tylu królami! Ona ani żoną morganatyczną, ani kochanką jego nie będzie, nadto jest dumną... a zdaje się, że Lord głowę stracił i ona serce stracić gotowa... Pomagać do tego nie godzi się... biednej dziewczyny spokój i przyszłość zawisły od jej znalezienia się... Już i tak gadają...

Ach! i ten blady kochanek w niewatowanym paltocie, który sypiał pod jej drzwiami... biedaczysko! Szczęście że się zaczyna uczyć medycyny... mówią, że to miłosne zapały ostudza...

Pani Laura zanadto już długo poświęciwszy się jednemu przedmiotowi, w tej chwili myślą wybiegła w inną stronę i zapomniała o Lenorze, Lordzie, Zbigniewie... i niedawnych odwiedzinach; nieszczęśliwa istota! tyle miała na tej biednej głowie!!

Zima zbliżała się ku końcowi. Lenora przychodziła do zdrowia. Siostra Felicya powróciła do klasztoru... pani Laura usiłowała naprożno wciągnąć protegowaną w świat wielki... Wszystkie jej namowy, prośby, gniewy nawet rozbiły się o wolę niezłomną sieroty, która stanowczo oświadczyła, że znajomości swe chce w małem bardzo kółku ograniczyć. Nie dziwacząc i nie dzicząc się bezpotrzebnie — bywała wprawdzie u pani Laury, ale nie inaczej, jak otrzymawszy od niej najuroczystsze zapewnienie, iż nikt przyjętym nie będzie nad tych, na których się obie wprzódy zgodziły.

Zwykle liczba tych wybranych bardzo była ograniczoną; należeli do niej czcigodny doktór, prawo obywatelstwa mający od niedawna Zbigniew, który się nawet o frak czarny postarał... a niekiedy tak zwany Lord... dopraszający się zbyt natrętnie tego szczęścia, zbyt poważnie i na pozór chłodno, aby mu w obawie następstw jakichś pani Laura wzbronić go mogła. Co się tyczy Lenory, ta nie mówiła nic przeciw, ale w zachowaniu się swem z nim była coraz zimniejszą, i stosunek ten trzymała z wielkim taktem prawie na tym stopniu, na jakim pierwszego stanął wieczora. Lord zrozumiał ją znać dobrze, bo poszanował wolę jej i poufalszego zbliżenia nie zdawał się żądać.

Resztę czasu spędzała Lenora u siebie w domu, w kościele, na przechadzce, doskonaląc się w muzyce, czytając wiele, myśląc więcej jeszcze.

Kasia tylko, która po kwartale pożegnawszy państwo Melchiorowstwo, przeszła w usługi pokochanej swej pani, dziwiła się nadzwyczajnie i gorszyła tem niepomału, iż osoba tak przyzwoita, tak wielkiego świata (jak jej się zdawało niebodze), mogła niemal co kilka dni przyjmować u siebie odartego, brudnego, dzikiego cygana... który całemi godzinami siedział u niej na ziemi, i albo słuchał grającej, albo coś mruczał lub cierpliwie dosyć dawał sobie coś mówić i czytać.

Poczciwa Kasia szanując tę tajemnicę swej pani, o której nigdy nikomu ani szepnąć nie śmiała, nie pytała jej, co znaczył ten cygan... przerażający ją... a nie przypuszczała, ażeby mógł być ojcem istoty tak pięknej, tak rozumnej, tak — jak ona mówiła d e l i k a t n e j. Słyszała o tem od Lenory, która się nie wypierała wcale ojca, ale wzięła to za niezrozumiałą fikcyą jakąś, nie dającą się rozumem garderobianej wytłumaczyć.

— Jak to może być jej ojciec? — mówiła sobie — rychtyk jakby ktoś powiedział na mnie, że ja hrabianka; ktoby temu uwierzył?

Pomimo kilkakrotnych pożegnań Dzęgi, który się ciągle w świat wybierał, Lenora cudem jakimś wstrzymać go przy sobie potrafiła. Z troskliwością macierzyńską chodziła około tej duszy zdziczałej, najeżonej niezrozumiałymi przesądy i trądycyami dziwnemi... milkła, gdy stary zapuścił się w swe szały i przekleństwa, słuchała go cierpliwie, potem zwolna zwracała rozmowę i wciskała w nią jakąś inną myśl, jakieś pojęcie łagodniejsze, promienistsze, aby z niem starca oswoić. Dzęga nie rozumiał, ilekroć przyszło mówić o człowieku, jakim go nasze społeczeństwo Chrystusową myślą, niedołężnie ale na wzór wielkiego prototypu stworzyło; słuchał, śmiał się, szydził... wszakże Lenora spodziewała się zawsze, że jakiś prawdy odłamek utkwi w nim, jakieś ziarnko padnie w duszy zakątek i wyrośnie...

Po życiu spędzonem na włóczędze i walce z całym światem, sprzysiężonym przeciwko sobie, cygan pojąć nie mógł obowiązku i możliwości przejednania... Wreszcie wędrowne życie stało się dlań nałogiem, potrzebą, niebezpieczeństwo upajającym wyskokiem, bez którego obejść się nie mógł... niecierpliwił się spętany niewolą i bezczynnością. A jednak córka zatrzymać go potrafiła. Sam on dziwił się temu. Dniem włóczył się na końskie targi, ku Pradze, mieszał się w tłum, szukał swoich i czasem ich znajdował, siedział w szynkach słuchając gwaru ciżby i lubując w bitwie karczemnej, a wieczorem zachodził do swej Zary, siadał na podłodze i kazał sobie grać lub wyzywał do mówienia.

Bolesna to była rozmowa, bo ją Dzęga przerywał niekiedy tak cynicznemi uwagami, że lice dziewczęcia płonęło. Nie raz, ale niemal co dzień jej powtarzał:

— Co to ty żyjesz jak mniszka? czemu ty chłopców nie bałamucisz i nie obdzierasz! Toż to twoje lata, miałabyś od nich, co byś chciała... bo ładne liczko nie na to ci dała matka, żebyś je zakrywała?... Co ty ich masz żałować!... I śmiał się stary... a Lenora spuszczała twarz zapłonioną.

Trudno nawet było od najpospolitszych rzeczy zwrócić Dzęgę do poważniejszej jakiej mowy... Gdy córki powoli usiłującej go uczyć słuchał, ziewał, i w końcu czuć było, że myśl uciekała gdzieindziej... a po chwili rwał się wychodzić. Naprożno szukała tej szpary, którąby do jaskini

promień słoneczny mógł się wcisnąć. Po wyjściu Dżęgi klękała modlić się i płakać. Ten wysiłek miłości dziecinnej nużył ją, bezskuteczność jego przyprowadzała do rozpaczy... ale wytrwać było potrzeba. Cudem niemal nazwać się mogło to, że potrafiła od dnia do dnia najrozmaitszemi prośby, namowami, pochlebstwy, datkami starego przy sobie powstrzymać. Być może, iż zima ostra po części się też do tego przyczyniła; być może, iż porobione w Warszawie znajomości także na to wpływały — dosyć że Dżęga dotrwał do końca kwietnia. Ale gdy liście poczęły się pokazywać na drzewach, powietrze ocieplało... skowronek zaspiewał, niebo pojaśniało... lody przeleciały i reszty śniegu stopniały, cygan już za kij pochwycił i począł rwać się do drogi...

O stosunku córki do ojca, o jego częstych odwiedzinach, oprócz Kasi nikt prawie nie wiedział. Chociaż Lenora nie byłaby się taiła z niemi, wypadek więcej niż rachuba sprawił, iż nigdy nikt nie nadszedł na to, gdy Dżęga poufale na posadzce siadłszy podparty gawędził z córką, śmiał się z niej, półuchem słuchał, swoje prawił i godziny całe spędzał ucząc ją cygańskich pieśni, które nucił półgłosem, a ona mu potem grała je ułożone misternie.

Dżęga lubił muzykę tę, i nią kupić sobie mogła Lenora trochę uwagi, łaskawsze ucho, gdy potem powoli z niewyczerpaną cierpliwością nawracać go poczęła...

Jednego wieczora Kasia spostrzegła swą panią niespokojną wielce... modliła się długo ze łzami, siadła potem pisać rozkazawszy jej iść spać... co dziewczę dopełniło z ochotą... Nie wiedziała nawet, kiedy pani świecę zgasiła... ale gdy rano obudziła się spiesząc do zwykłych zatrudnień... przestrach ją nadzwyczajny ogarnął — pani nie było w pokoju... Dwa listy leżały tylko na stoliku. Kasia umiała czytać, wysylabizowała adres jeden do doktora, drugi do Laury, i cała przerażona, zapłakana poleciała z niemi...

Doktor odczytawszy list załamał ręce, stał zadumany, poszedł natychmiast do mieszkania Lenory, aby je wziąć w opiekę, ale Kasia się nic od niego dowiedzieć nie mogła. Gwałtowniejszy skutek wywarło drugie pismo do pani Laury, która płacząc i lamentując biegała z niem po całym domu... I tu wszakże poczciwa sługa napróżno o kochaną panią pytała, nie odpowiedziano jej nic. Doktor kazał wprawdzie do pewnego czasu pozostać przy mieszkaniu i rzeczach dla dozoru, ale na nalegania dziewczyny, kiedy jej pani powróci, dla czego tak ukradkiem wyrwała się z Warszawy, nic odpowiadać nie chciał...

W parę dni dopiero po tem zagadkowem zniknieniu Lenory, które jej przyjaciele trzymali w najgłębszej tajemnicy, nadszedł nieszczęśliwy Zbigniew... Sługa miała sobie za obowiązek nie wyjawiać nic przed nim; powiedziała mu, że pani wyjechała, i że się chyba od doktora dowie coś więcej. Poleciał Zbigniew do niego... ale na pierwsze naglące pytanie odebrał tylko suchą odpowiedź, że panna Lenora dla pilnych interesów opuściła Warszawę. Chłopak znał nadto dobrze jej położenie, interesa, myśli, aby go takim ogólnikiem zbyć można... Zdziwiło go to, że wyjazd dla niego był tajemnicą.

Wiedział o ojcu, domyślał się i dobadał dawno, że Lenora czuła się w obowiązku wyrwać go z zatracenia; mimowolnie wbił więc sobie w głowę, że gotowa była pójść za niepoprawionym włóczęgą, aby go bronić od jego własnych zachceń i powolnie na inną starać się wwieść drogę.

Ta myśl utkwiła w nim, pozbyć się jej nie mógł; przeraziła go ona przypuszczeniem wszelkich niebezpieczeństw, na jakie Lenora narazoną być mogła... oszalał... W tej chwili obowiązki względem matki, rozpoczęta nauka, niepewność i nieświadomość zupełna miejsca pobytu Lenory, znikły mu z oczów, serce mu biło natarczywą jedną myślą: Iść za nią, bronić jej! ratować!

Z załamanemi rękami, blady, zbliżył się błagająco do doktora, przypadając przed nim prawie na kolana.

— Dobroczyńco mój — zawołał — wiem, że opuszczając Warszawę pisała do ciebie, zaklinam cię, proszę, powiedz mi, gdzie ona jest! Jeźli jej grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, jeźli ja mogę się przydać na co! pozwól mi... spełnić najświętszy z obowiązków...

— Ale ja panu powiadam najuroczyściej, że nie wiem, gdzie jest panna Lenora — rzekł doktor...

— Przecież się ona wytłumaczyła przed panem, w którym miała zaufanie, z tego odjazdu tak nagłego!

— Wytłumaczyła! nie! — odparł doktór — to krok, który się nie daje niczem wytłumaczyć, prócz nadto dobrego serca, a bardzo obałamuconej głowy jakąś dziwną egzaltacyą!

— Ona poszła za ojcem!!

Doktor spojrzał na niego bacznie i zamilkł.

— Widzisz pan — odparł Zbigniew — że ja potrafiłem odgadnąć jej bohaterstwo! jestem pewien, żem przyczynę tę przeczuł, zrozumiał... Nic mi nie pozostaje, tylko iść za nią!

— Dokądże? dokąd? — zapytał doktor ruszając ramionami.

— Albo ja wiem! dokądkolwiek bądź! szukać jej...

— Wiatru w polu! — przerwał stary — to się nie zdało na nic! Matkę waćpan opuścisz, naukę przerwiesz, ucierpisz, zmęczysz się i nic nie zrobisz...

— Matce oddam co mam... polecę ją... uspokoję, naukę muszę odłożyć... a ratować ją powinienem i tego dopełnię.

— Kochany panie Zbigniewie, jest to na pozór heroizm, ale w istocie bałamuctwo... Młody oszalałeś za tą dziewczyną, i nie uczucie obowiązku ale cię miłość prowadzi...

Zbigniew się zarumienił cały...

— Panie — zawołał gorąco uderzając się w piersi — ja sam nigdy myśli tej przed sobą wypowiedzieć nie śmiałem!

Byłoby zuchwalstwem abym ja... ja, biedny, ubogi, nie godzien patrzeć na nią, śmiał inaczej kochać tę istotę... tylko jak promieniste bóstwo...

Jeśli ona poświęcić się chciała dla ojca, o czem nie wątpię — to ja obowiązany jestem wszystko rzucić dla niej i lecieć na ratunek... Ona była dla mnie opiekunką, nauczycielką, przewodniczką, wszystkiem... byłbym niewdzięcznym, gdybym tu pozostał spokojnie... Pójdę...

Stary doktór popatrzał nań, poszedł do szuflady biórka, dobył z niego list i milczący dał mu go do czytania.

Pismo było następującej treści:

„Szanowny panie, ty coś mi dał tyle dowodów swej przyjaźni, nie potępiaj mnie za krok, który świat nazwie dziwactwem, jeśli weń uwierzy, lub szukać w nim będzie innych pobudek nad te, co mnie do niego skłoniły. Na ziemi całej mam tylko jednego — ojca, nieszczęśliwego tułacza, którego niedola długa zwichnęła; jestem obowiązaną wszystko dlań poświęcić. Idę z nim, za nim, dopóki go skłonić nie potrafię do odmiany życia i nie pociągnę za sobą tak, jak dziś on mnie ciągnie uczuciem obowiązku. Czyż wiem jak, kiedy a nawet czy powrócę? Weź w opiekę mienie moje i racz je zachować, a jeźliby mi przeznaczonem było — nie zobaczyć was więcej, nie wrócić nigdy, rozporządź tem, co znajdziesz, na rzecz sierót i ubogich, takim losem jak ja dotkniętych. W tym podziele nie zapomnisz poczciwego Zbigniewa i jego matki. Z uczuciem ściskam zacną dłoń twoję — w Bożych rękach losy nasze — przyszłość ciemna, a co każe sumienie, bądź co bądź spełnić potrzeba. Żegnaj mi zacny panie...“

Zbigniew odczytał list cały żywo, szybko, a przekonawszy się, że go nie omyliło przeczucie, obawiając, aby doktor nie odwodził od postanowienia, które powziął (gonić za Lenorą) — położył tylko pismo drzącą ręką na stole i skłonił się wzruszony, chcąc odchodzić.

— Czekaj pan — zawołał doktor — coż myślisz? bądź otwartym, naradzimy się.

— Dziś, natychmiast puszczam się w pogoń...

— Nie tak jestem temu przeciwny, jak może sądzisz — rzekł doktor — nie radzę, nie namawiam, bo czuję, że to nie twoja rzecz... Gdyby kto inny... nie mówię. Ale jeźliś się już uparł, to powiedz przynajmniej, co myślisz robić? Gonić! nie sztuka wybiedz w świat; ależ potrzeba planu, trzeba śladów jakichś... wskazówek...

— Pan mnie nie uznajesz do tego zdolnym? — zapytał Zbigniew.

— Właśnie dla tego, że przedsiębierzesz z gorączką, co należy czynić z rozwagą chłodną...

Zbigniwowi oczy zabłysły żywiej niż zwykle, uderzył się w pierś.

— Znajdę środki... odszukam ślady... wierz mi pan...

Chciał już odejść.

— Czekaj jeszcze — przerwał doktor — nie masz grosza przy duszy, matki bez zapasu zostawić nie podobna... pożyczę ci ile potrzeba.

Młody chłopak się zarumienił, ale na ten raz jako pożyczkę musiał przyjąć ofiarowaną pomoc, która mu przychodziła jak przez opatrzność zesłana... Doktor wcisnął w rękę papiery dobyte żywo z pugilaresu, a w chwilę potem Zbigniew już biegł ulicą ku Dziekance.

Matce nie sposób było się przyznać do zamierzonej pogoni, musiał ją przed nią utaić; powiedział, że go wysyła doktor za swoim interesem, zostawił część pieniędzy, odebrał paszport i mimo spóźnionej pory byłby tego samego dnia wyruszył, gdyby miał jakiekolwiek wyobrażenie o tem, dokąd mu jechać należało. Toż samo przeczucie, które mówiło, iż Lenora poszła za ojcem, wskazywało mu Karpaty jako okolicę, w której najprędzej Dżęga się mógł schronić i córkę za sobą pociągnąć. Wieczór jednak poświęcił wywiadywaniu się dość trudnemu i poszukiwaniu śladów cygana. Pomógł mu do tego towarzysz niegdyś szkolny, zajmujący teraz jakąś maleńką posadę w ratuszu i lepiej nad niego obeznany z ruchem ludności i stosunkami Warszawy.

Przez niego mógł się Zbigniew dowiedzieć o cyganie jakimś na Pradze, zastępującym miejsce uczeńszego weterynarza, o którym nie wątpił, że z Dżęgą w czasie jego pobytu w Warszawie musiał być znajomy. Cygan, acz przebywający prawie ciągle i kręcący się około końskich targów, i tu wiódł życie koczujące... Nie miał on stałej siedziby, nocowywał po szynkach, we dnie się włóczył, widywano go czasem codziennie w jednem miejscu, potem tygodniami znikał. Na ten raz znalazł się wszakże zajęty bardzo jakiemiś podejrzanemi naradami ze starozakonnymi faktorami i handlarzami koni. Był to słynny podrabiacz zębów, odmładzający szkapy cudownie i z bezrejestrowych, starych koni umiejący tworzyć sześcioletnie rumaki.

Mały, gruby, czarny cygan Hurda palił fajeczkę węgierską i wziąwszy się w boki szeptał to jednemu to drugiemu izraelicie coś do ucha, przymrużając naprzemian oczy, gdy Zbigniew go odciągnął na bok, naprzód ułagodził go miodem, co obudziło w cyganie podejrzenie, potem przystąpił do rzeczy i zapytał, czy znał Dżęgę?... Hurda mierzył go nieufnemi oczyma, fajkę cmokał, odpowiadać nie chciał, mruczał, ale gdy się chłopak wygadał, że mu nie o cygana, ale o córkę jego chodziło, upewniwszy się, że to sprawa kobieca, przyznał się, że Dżęgę widywał.

Długo się potrzeba było targować, nim cygan zdradził cygana za ów nieszczęsny biały grosz Judaszowski, co tak ludzkie psuje serca. Schowawszy do kalety podarek, Hurda napomknął, iż najpewniej udać się musiał ku Galicyi i Węgrom, bo on tam szczególniej przebywać nawykł i znał dobrze oba Tatrów stoki... dowodząc garstkom cy-

ganów, włóczących się po jednej i drugiej stronie na przemiany. Radził więc Zbigniewowi udać się do Krakowa, a ztamtąd najbliższą drogą ku Tatrom, dopytując po gospodach... w których Lenora nie mogła przejść nie postrzeżoną, acz — jak domyślał się Hurda mrugając oczyma — przebrać się pewnie musiała idąc za ojcem...

Skazówka nie wielkiej była wartości, cygan dawszy ją, uśmiechał się i siedział, jak gdyby jeszcze co miał na sprzedaż... Wyciągnął jeszcze białego, jak zwał rubla, z kieszeni Zbigniewa, i dopiero wypiwszy miodu przyznał się szczerze, że Dżęgę idącego z córką widział na Pradze...

— Hej ładnać bo cyganka! — śmiejąc się dodał stary — jabym się sam z nią ożenił... ja jej to mówiłem, ale harda ani przystępu... a tobie, paniczyku chyba że głowa świerzbi na karku... inaczej za nimi bym iść nie życzył... cygany jej nie puszczą, kiedy ojciec odebrał ją, musi pójść za naszego chłopca... i wy jej już mieć nie będziecie...

Wzdrygnął się na tę myśl Zbigniew i nic nie odpowiedziawszy wstał z za stołu; którędy poszli — nie chciał czy nie umiał mu powiedzieć Hurda, zapewniał tylko, iż konia i wóz kupić mieli i że Dżęga starą cyganicę wziął do posługi i twardej roboty, aby córki nie męczyć.

Klapnął go po ramieniu napity cygan na odchodnem, popatrzał w oczy i dodał:

— Darmo, paneńku buty zedrzecie, ja wam mówię darmo... stary Dżęga mądrzejszy od was... Albo on ją swojemu zaślubi, albo... na Węgry zawiezie i jakiemu grafowi sprzeda, wszak to jego krew... A co jej złego będzie, jak bogaty pan weźnie na zamek i ojcu dobrze za nią zapłaci? — Machnął ręką — Żebym ja taką córkę miał, dalipan bym nie co zrobił innego... Dla cygana to już za delikatne, bo jakby raz i drugi kijem wyłomotał, to by kości połamał; dziecka na plecach nie dźwignie, zimna nie zniesie, zdechłego mięsa nie będzie jeść... a to u nas wszystko się trafia...

Jeżeli masz dużo, dużo pieniędzy... to jeszcze... a jak mało co... to ty jej nie dostaniesz... darmo się nie puszczaj... Ojciec chytry! ja go znam, on raz mając taką lalkę, za lada co nie odda... a ona mu się nie wyprosi, ani wy nie wymodlicie...

A! no — jak wola!! (C. d. n.)

ZAKŁADY ZDROJOWO-KĄPIELNE W GALICYI.

V.

Jaszczurówka.

(Cieplice w Tatrach.)

Jednem z arcyciekawych zjawisk natury, jakich mnóstwa dostarczają nasze wspaniałe Tatry, jest tutejsze ciepłe źródło, które tameczny lud Jaszczurową albo Jaszczurówką nazywa.

Zaiste nader ciekawem i wszelkiego podziwienia godnem zjawiskiem jest to źródło ciepłej wody w Jaszczurówce, w naszych Tatrach, na wysokości 2750 stóp nad poziomem morza baltyckiego, mające stałą temperaturę + 21,2° C., gdy inne nasze tatrzańskie źródła zaledwo do + 7° C. dochodzą. Zdrój ten w Jaszczurówce nigdy nie zamarza, w pobliżu jego nawet podczas tęgich mrozów znajdziesz świeżą trawę, w około niego wsród zimy wznoszą się tutaj ustawicznie gęste kłęby pary — zgoła wspomnione źródło posiada wszystkie przymioty naturalnej Cieplicy.

Niedocieczona w swych tajnikach przyroda wskazuje przeto w łonie naszych ojczystych Tatrów jakby w miniaturze owe cudne zjawisko gorących źródeł, jakich o najwyższej ciepłocie użyczyła nowej Zelandyi i Irlandyi, którychto krajów gorące rodzime źródła dochodzą prawie do punktu wrzenia wody, gdyż posiadają ciepłotę od + 97 do + 100° C.

A tak gdy z jednej strony mnogie i rozmaite nasze mineralne źródła dzisiaj już na setki liczyć możemy, przybywa nam w Jaszczurówce ojczysta Cieplica, której umiejętne ocenienie zawdzięczamy komisyi balneologicznej, w Towarzystwie naukowem krakowskiem zawiązanej.

Posiadamy przeto i my w naszych Tatrach zdroje wody ciepłej, pospolicie Cieplicami zwane, jakich nie mało znajduje się w górach Czarnoleskich, tem więcej w Alpach, w Pyreneach i innych — a do jakich to Cieplic ze znajomszych liczymy: Gastein, Pfäffers, Schlangenbad, Landeck, Warmbrunn, Plombieres, Cieplice czeskie (Toeplitz) i mnóstwo innych.

Wprawdzie stopień ciepłoty naszej Jaszczurówki (+ 21.2° C.) o wiele jest niższym, aniżeli zagranicznych Cieplic, jak np. Gasteinu mającego + 38,5° R., Pfäffersu + 30° R., Schlangenbadu + 24° R., Landecku + 23° R.; gdybyśmy jednak źródła naszej Jaszczurówki przy pomocy świdra górniczego umiejętnie pogłębili, z wszelkiem prawdopodobieństwem stopień ich ciepłoty o wieleby się podwyższył.

Poznajmyż bliżej to dziwne zjawisko — te polskie Cieplice!

O ćwierć mili od znanych powszechnie kuźnic (huty) zakopańskich, leżących jak wiadomo na samej granicy galicyjsko-węgierskiej, w powiecie nowotargskim, a zatem na północnej pochyłości Tatrów, znajduje się wśród lasu świerkowego dolina, między dwiema skałami, z których jednę lud tamtejszy małym Reglem a drugą Nosalem nazywa. Prawie środkiem tej doliny szumi po głazach wartki potok, poczynający się pod skałą zwaną Królową, zkąd też niektórzy nazywają go potokiem z pod Królowej. Właściwe jednak nazwisko tego potoku jest Olczysko, a samej doliny nazwa: doliny Olczyska. Droga po dolinie dosyć przystępna, ponieważ jeżdżą tędy wieśniacy, udający się do lasu po drzewo.

Miejscowość ta, tak bliska Zakopanego, nie należy jednak do niego, ale do wsi Poronina, o milę ztąd odległej, będącej dziedzictwem Wgo. Adama Uznańskiego.

Otóż w tej dolinie znajduje się jedyna w kraju naszym Cieplica, to jest zdrój wody ciepłej, mający latem i zimą + 21.2° C.

Nie wiedzieli o nim dawniejsi badacze Karpat, jak: Hacquet, Staszic i Puset.

Pierwszą o nim wiadomość zawdzięczamy niezmordowanemu naszemu geologowi L. Zeisznerowi, którą podał w swej rozprawie: „O temperaturze źródeł Tatrowych i pasm przyległych“, zamieszczonej w „Bibliotece warszawskiej“ (t. II. r. 1844 str. 257—281). Badał on to źródło już w roku 1839; po nim badał prof. Kuczyński tenże sam zdrój w r. 1852; a następnie dokładnie opisał toż źródło prof. Skobel w r. 1858, w skutku zaproszenia go do tej czynności przez komisyą balneologiczną, zamieściwszy owoc swych naukowych poszukiwań w rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego (tom XXVI. r. 1859); nakoniec komisya balneologiczna wezwała znanego naszego analityka A. Alexandrowicza do rozbioru chemicznego wody Jaszczurówki, który chlubnie wywiązał się z powyższego zadania, zamieszczając tę swoję analityczną pracę w rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego (t. XXVIII. r. 1859).

Nadmienione źródło ciepłe znane u ludu górskiego pod imieniem Jaszczurowej lub Jaszczurówki, dlatego, iż tuż przy niem pojawia się nie mało salamander (salamandra mamlosa), które górale jaszczurami zowią, znajduje się na wysokości 2750 stóp nad poziomem morza baltyckiego, dobywa się u podnóża góry Nosala, od strony wschodniej, w odległości około 10 sążni ku zachodowi od Olczyska, z pod skały, którą Zeiszner odnosi do gatunku Dowmitu munulitowego, nadmieniając zarazem w swej rozprawie „O temperaturze źródeł Tatrowych“, iż „w pobliżu tego miejsca nie ma ani śladu skały ogniowego początku, ze wszech stron bowiem otaczają tę cieplicę skały, z wód osadzone“.

Woda ze wspomnionego źródła nie płynie wprost do Olczyska, lecz zbiera się przedtem w małem zagłębieniu skały, którego dno pokrywa żwir szary. Kotlina ta jest zaokrąglona, ma około 70 cali wied. w poprzek, a 90 cali wied. w podłuż, największa zaś jej głębokość wynosi do 15 cali, z powodu jednak nierównego dna nie wszędzie ta głębokość jest tak wielka. Woda dobywa się z całego dna kotliny, równocześnie z bańkami gazowemi ze znakomitą hyżością i w znacznej obfitości; o czem przekonywa ciągły ruch drobnego żwiru, unoszącego się w górę i opadającego napowrót na dno, tudzież znaczny strumień z tej kotliny odpływający, który przebiegając około 30 sążni długości, wpada do potoku Olczyska.

Na około źródła, tudzież po bokach jego strumienia znajduje się gruba warstwa glonu, czyli zielenicy rzecznej (Conferra rivularis). Poźno we wrześniu r. 1858 napotkał tu prof. Skobel jeszcze piękną roślinność, jako to najbujniejszy podbiał, nie małą ilość wierzbówki i wiele roślin skrytopłciowych.

Stała ciepłota tego zdroju, według wielokrotnych między r. 1839 a 1859 uskutecznionych badań, wynosi + 20.2° C. Woda sama jest czysta jak łza, nie ma żadnego smaku ani zapachu.

Obfitość wody Jaszczurówki jest bardzo wielka, o czem przekonywa bardzo znaczny strumień, jedynie z niej utworzony, a do potoka Olczyska wpadający, pomimo iż znaczna ilość tejże wody rozlewa się ubocznie.

Ze względu na swój skład chemiczny zdrój Jaszczurówki jest nader ciekawem zjawiskiem; albowiem woda jego zawiera w sobie tak mało części składowych stałych, iż nie jedna studzienna woda o wiele ją pod tym względem przewyższa. Ale za to Jaszczurówka ma w sobie gazy, a mianowicie: azot, kwas węglowy i kwasoród.

Jaszczurówka przeto swoją rodzimą temperaturą, tudzież swoim składem chemicznym, należy do tak zwanych Cieplic chemicznie obojętnych, z grecka aliratotermami mianowanych.

Szczególna jej cecha, od innych tego rodzaju wód ją wyróżniająca, na tem polega, iż wydobywające się gazy w Jaszczurówce są prawie czystym azotem, albowiem w 100 częściach gazów Jaszczurówki znajduje się azotu $96^3/_4$.

Powyżej opisana woda, jakiej wiele podobnych od dawna już w medycynie używano, bez najmniejszej wątpliwości służyć może do celów lekarskich. Gdybyśmy zatem zamierzali:

1) podnieść u chorego czynność powłok powszechnych, czy to w naczyniach krwionośnych czy w nerwach tu rozgałęzionych;

2) przyspieszyć wessanie wypocin;

3) ocucić uspioną czynność w nerwach obwodowych; w tych razach Jaszczurówki, jako kąpieli, z najlepszym skutkiem używać możemy.

Nadto zważywszy, iż Jaszczurówka znajduje się w znacznej wysokości nad poziomem morza (2750 stóp), a cieplice w tak wysokiem położeniu dziwnie pokrzepiają podupadły organizm, przeto Jaszczurówkę możemy zalecać wielu chorym w okresie ich rekonwalescencyi — w osłabieniach połączonych z niedokrewnością, mianowicie po kuracyi poprzednio u wód żelaznych odbytej — w ogólnej nadczułości nerwów, wreszcie w cierpieniach pochodzących w skutku stłuczeń lub innych urażeń mechanicznych.

A dodajmy nadto, iż w miejscu tak odludnem jak Jaszczurówka, wśród wzniosłych gór i odwiecznych lasów, w miejscu bezdrożnem, nic zgoła oprócz wody cieplicznej i cudnych widoków natury, ale natury dzikiej, nie posiadającem — wszystko tutaj stworzyć należy, czego tylko człowiek do życia i swego pomieszkania potrzebuje — a cóż mówić o wygodach dla chorych nieodzownych, a ich rozrywkach i przyjemnościach, gdyby tu dla kuracyi przebywali.

Wszakże ten zawiązek niby zakładu, jaki tu Wny. A. Uznański dotychczas urządził, i tak nie był straconym, bo od kilku lat nie mała liczba osób używała kąpiel



Jaszczurówka.

Komisya balneologiczna, wsparta na naukowem zbadaniu Jaszczurówki, gorąco zachęcała dziedzica tutejszej posiadłości, Wgo. Adama Uznańskiego, do urządzenia tutaj zakładu zdrojowo-kąpielowego. Jakoż uczynił on pierwsze ku temu początki przez oprawienie kotliny, wodę cieplicą mieszczącej, w drewniane ocembrowanie, t. j. w zbiornik (bassin) do wspólnych kąpieli — i przez wybudowanie tu jednego domku mieszkalnego — tudzież urządziwszy tutaj w osobnem zabudowaniu kąpiel spadową.

Ale nie tak łatwo znaleźć gotowość do ofiar i poświęcenia kapitału na sprawę humanitarno-medyczną — a jeszcze trudniej w kraju tak ubogim jak nasz ojczysty!

w Jaszczurówce, a nawet w roku 1868 kąpało się tutaj przeszło 200 osób.

Zaiste widać w tem, iż należycie urządzony tu zakład lekarsko-kąpielny nie byłby straconym! W tem zaś, co Wny. A. Uznański tutaj dotąd uskutecznił, widać dobre chęci.

Miejmy nadzieję, iż co już raz poznanem i umiejętnie ocenionem zostało, to przynajmniej dla nauki zmarnowanem nie pozostanie. Ufamy, iż Wny. Uznański skorzysta z rad komisyi balneologicznej, i albo sam, albo przy pomocy drugich wzniesie tutaj zakład lekarsko-zdrojowy, do którego Opatrzność widocznie nastręcza tu bogaty zasób materyałów.

Bo nikt nie zaprzeczy, iż tu są materyały — iż tu najwłaściwsze miejsce na zakład zdrojowo-kąpielowy — czy to z wody ciepliczej — czyli na zbywający nam dotychczas zakład hydropatyczny — czyli wreszcie na zakład leczniczo-mleczny, gdy tak blisko jest tu Zakopane, głośne u nas ze swej dobrej żętycy i wybornego górskiego powietrza. A tak połączywszy wszystkie te materyały i tutejsze dary przyrody potęgą umiejętności i siłą kapitału, śmiało możnaby tutaj wznieść zakład leczniczo zdrojowy. Tym nowym nabytkiem dodalibyśmy krajowi świeży humanitarnomedyczny i narodowo-ekonomiczny zakład, wzniesiony w naszych Tatrach, do których nasze serce wraz z ulubionym wieszczem zawsze nas wzywa:

„W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szałase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży;
Gdzie się serce sercem mierzy,
I w swobodę człowiek wierzy!
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry".

Dr. M. Z.

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym."

(DOKOŃCZENIE)

Na odgłos myzyki zbiegła się, niewiadomo zkąd, dworska czeladka i różne pachołki, aby jej się przysłuchać. Rzekłby kto, iż cała ta czereda wyrosła z ziemi, gdyż przed chwilą dziedziniec był pusty.

Ale myśl moja błądzi gdzieindziej. Spoglądam niespokojnie już to na ganek przed domem, już w okna, już na ogród otoczony sztachetami, w chęci zoczenia celu mej wyprawy. Nie raczył się atoli ukazać na przyjęcie upragnionego gościa. Tylko dwa wesołe kotki igrały na progu od sieni, nie zważając na nikogo.

W tem nadchodzi starzec wysokiego wzrostu, z sumiastym siwym wąsem, w długich butach i z fuzyą zawieszoną u ramienia na zielonej taśmie. Domyślam się, że to dziedziec, stary Cerber dwóch ładnych dziewcząt.

Następuje przerwa w muzyce.

Przesuwam co prędzej zasówkę w maszynie, aby zmieniła jednostajną nutę i zagrała jakąś lepszą sztuczkę na spotkanie szlachcica, i znowu kręcę korbą; lecz maszyna, jak na złość, wycina tegoż samego co i wprzód kuranta. Nowa przygoda podróży!

Zbliża się Szlązak i koło kataryny majstruje — ale napróżno — on tylko umiał obchodzić się z małpami — maszyna zaś wycina zawsze jedno i toż samo, coś się w niej zepsuło w drodze.

Skłoniliśmy się nisko dziedzicowi, a on rzucił nam w szczodrobliwości swojej kilka trojaków i zwróciwszy się do fartuszkowej pokojówki:

— Daj Kasiu po kieliszku wódki tym włóczykijom! — rzecze.

A sam, wszedłszy do przedsionka, zakręcił się i znikł nam z oczu.

— Pódźta chłopcy na gorzałkę! — zawoła z kolei fertyczna w gorseciku Kasia prowadząc nas za sobą.

To serce ma coś zajęczego w sobie, bo znowu mi bić poczęło biegiem przyspieszonym; a te trojaki, rzucone z pogardą, piekły do kości dłoń, co je podjęła dla odwrócenia podejrzeń butnego szlachcica. Jeźli cię uderzą w policzek, nadstaw drugi, a idź śmiało do celu! — szeptał głos tejamny.

Raptem drzwi od pańskiego przybytku się rozwarły, wstąpiliśmy do pierwszej obszernej izby, stanowiącej salę jadalną. Kredens stał w kącie i długi dębowy stół na środku sali, na który patrzały marsowate postacie w kontuszach, wiszące rzędem na ścianie. Snać to praojcowie dziedzica.

Sam pan przechadzał się paląc fajkę w drugiej przyległej komnacie; w trzeciej zaś, do której drzwi prowadziły na przestrzał, siedziała przy oknie nieznajoma dama z pochyloną głową nad rozłożoną książką, a obok niej dostrzegłem profil wspartej na fortepianie Wandy, jak się zdawało z ołówkiem w ręku zajętej rysunkiem.

Cisza panowała w pokojach, przerywało ją tylko ciężkie stąpanie jegomości, skrzyp posadzki, i brzęk kieliszków, którymi trącała w kredensie Kasia.

— No! kiedy już napiliśta się piołunkówki, to teraz fora ze dwora — zawoła poczęstowawszy nas szorstka dziewczyna, widząc, że nam się nie spieszy z odejściem!

Tere fere, gadaj tam sobie! i nie słuchając wieśniaczki, postąpiłem do komnaty, gdzie sam jegomość spacerował.

— Proszę uniżenie jaśnie wielmożnego pana! — rzekłem głośno i dobitnie.

I odezwa ma wywarła przewidziany skutek; Wanda bowiem obróciła główkę, i napiąwszy wzrok ku mnie zbladła, wyraźnie mię poznawszy. Wyprostowała się nagle, wsparta łokciem o zwój papierów na fortepianie, lewą rękę przyłożyła do łona, następnie coś przemówiła, czego

jednakże dosłyszeć nie mogłem; to tylko pamiętam, że jej towarzyszka spojrzała zmieszana na nią, potem zwróciła wzrok badawczy do pierwszego pokoju, spojrzeliśmy sobie oko w oko, potem wstała i drzwi zamknęła. Wszystko to odbyło się w oka mgnieniu.

I nie wiem, co się dalej tam stało; bo skończyła się scena — kortyna zapadła.

Za to nastąpiła zmiana dekoracyi.

W drugim pokoju, chodząc za szlachcicem, zapraszałem się do niego na nocleg, przekonując silnymi argumentami, że do karczmy daleko, że tam nie byłoby się gdzie podzieć z powodu weseliska, że kataryny żydzi nie potrzebują, gdyż przygrywają sobie na cymbałkach, że człek utrudzony, biedny, a i u chłopa na wsi to także zapłacić każą, że wreszcie ubliżałoby to gościnności dworu szlacheckiego...

— Gdzieżeś się ty tak szczekać wyuczył, próżniaku?— zapyta gospodarz.

— W Warszędze, jaśnie panie!

Rozśmiał się szlachcic.

— Kasiu! Kasiu! trzebaby tych chłopaków na noc pomieścić.

— O! wzdyć jeszcze czego?

— Przenocuj ich, przenocuj Kaśko! zanosi się na wielką burzę na dworze.

— Hm! Na folwarku dzisiaj bielili, jeszcze nie wyschło... to juści chyba w maglach ich przenocować... tam im przyniosą słomy... Choćta chłopcy!

I nie czekając odpowiedzi, wyprowadziła nas do sieni, a ztamtąd zawiodła do jakiejś zatęchłej sionki, psiarni, czy komorki, gdzie stały tylko dwa magle nałożone kamieniami i długa ława pod okienkiem, i gdzie nas porzuciła.

Och! jakżebym ja cię przemaglował kanalio za taką kwaterę — pomruknąłem oburzony na Kasię.

Wieczór się zbliżał, niebo szarym się płaszczem odziało; przyniesiono nam kolacyą, złożoną z kwaśnego mleka i razowego chleba, tudzież wiązkę słomy.

Mój kamrat podjadłszy sobie rozciągał się na barłogu i niezadługo po bohatersku chrapać zaczyna; koncert nie bardzo przyjemny, ale do taktu. Pomimo to nudzę się najokropniej, rachując kwandranse, które przenosi zza ściany kukułka z zegaru jegomości, a z których każdy wiekiem mi się staje.

Chodzę, utykam w komórce, siadam na ławie, wstaję, znowu utykam; a w dodatku zaczynam zniecierpliwiony dąsać się na panny. Co to będzie? Toż one wiedzą, że moja rola tutaj skończona, że zrobiłem wszystko co mogłem; mają mię! a więc teraz na nie kolej ułatwić dla się kontrabandę zakazanego towaru.

Temi i tem podobnemi zajęty byłem myślami — ciemno już się zrobiło w komórce — gdy na raz słyszę śmiechy kobiece w sieni i widzę maluchne światełko, co zajrzało do mnie przez dziurkę od zamku. Zatrzymuję oddech, aby się lepiej przysłuchać, ale kamrat nicpoń przeszkadza mi chrapaniem. Byłbym mu na łeb zimnej wody nalał, gdyby mię rozum nie wstrzymał był od tego.

Głosy się zbliżają, potem słabną — poznaję i kwilenie Wandzi; zda się, że cała kawalkata gdzieś się wznosi do góry, a Kasia jej przewodzi, bo ją najwięcej słychać. Nareszcie wszystkie głosy wraz z światełkiem nikną, i noc milcząca skrzydła rozpościera. Cisza.

Ale ktoś wkrótce zbiega ze schodów; coś szasnęło obok mej komórki, fru fru sukni kobiecej! Poskoczyłem ku drzwiom — to ona! — ale nie... to Kasia. I cóż ty mi zwiastujesz kanalijko?

— Hi, hi, hi! zdejm panicz bóty — rzecze po cichu— pójdziewa na górę; ja zaraz wrócę, tylko powyganiam pieski z sypialnego pokoju jegomości i zawrę drzwi od sieni. Jegomość już są w łóżku.

Odetchnąłem.

Wiedząc już, na co się zanosi, wydzieram co tchu podróżny worek zpod głowy Szlązakowi, dobywam suknie, przebieram się na prędce, wycieram twarz, najeżam dziesięcioma palcami czuprynę, a na ostatku zdejmuję obuwie i czekam na przygody losu.

Słyszę jak rzeczywiście pieski gdzieś wyganiają, jak główne od korytarza drzwi ryglują, i jak wreszcie powraca ostrożna Kasia, zadmuchnąwszy świecę.

Potem przesuwamy się oboje, wziąwszy się za ręce, po ciemku do schodów.

— A teraz uczep się panicz za spódnicę — szepnęła pokojowa.

Ująłem ją za wstążki od warkoczy, i tak cichaczem wznosiliśmy się ku niebu, a wlazłszy na facyatę, przystanęliśmy razem.

Nagle roztwierają się przed nami podwoje i zdrój światła tryska. Kaśka schodzi na dół, ja zaś przestępuję próg raju, wkraczam do sanktoryum panieńskiego.

Wandzia zrywa się na powitanie ku mnie, chwytam ją za szyję, i nuż się oboje całować! — nie przymierzając, jak dwa kędzierzawe skrzydłate aniołki, co się w przelocie całują na obrazach Rafaela. Druga dziewoja na ten widok promienieje z radości, a oczy jej błyszczą, jak dwa zarzewia. Puszczam zatem Wandę, a w nadmiarze uszczęśliwienia łapię tamtę, ująwszy jedną dłonią pod bródkę, drugą za szynion, i także wyciskam na jej ustach gorący pocałunek; całujemy się społem, niby zgodne rodzeństwo.

Potem dopiero następują z młodą nieznajomą wzajemne prezentacye, wedle przyjętej etykiety.

Dwa te pysia, o ile pomnę, jakoś smaczniejsze mi się wydały od buziaków mych krewniaczek, do których niegdyś przyjeżdżałem był na wakacye. Tamte były zwyczajne, te zaś lukrowane.

*

Usadowiłem się na kanapie między dwoma dziewojami; starsza z nich, gosposia, sierota bez matki; podobnie jak Wandzia, sama czyni honory domu, nalewa mi zgrabną rączką wina, podaje ciasteczka i różne łakocie; uprzejmie, hojnie ugaszcza. Snać że Polka, bo każda Polka jestto jaśnie wielmożna Polka!

Obiedwie trącają się ze mną próżnymi kieliszkami, wnosimy zdrowie podeschłej arcypanny Maryni, którą zostawiliśmy w Warszawie z całą jej czujnością; pełno śmiechu, roskoszy, miłej pustoty, wesela. Bodajto młodość! i podobna gratka z takiemi dziewczętami, których niewinne rozrywki mają nierozerwany związek z krainą ducha, niewychodząc z pod opieki niebios.

Ileż tam było swobodnej, nie skrępowanej żadnym interesem, żadnymi światowymi względami uciechy. Obyło się zaiste bez form i formułek niszczących samodzielność, tępiących siłę twórczą człowieka, a pokrywających najczęściej samę jeno próżnicę. Nie mieliśmy nad sobą żadnego pułkownika, coby nam rozkazywał, jak mamy postępować. Byliśmy sobą, i dobrze nam z tem było, bo serca nasze nie były spaczone.

Gdy wpatrywałem się z zachwytem po długiem niewidzeniu w Wandę, występowały na jej lica kolorki, które tak jej szły do twarzy; gdy do mnie mówiła, wzrok jej ożywiał się niewinnym zapałem; gdy mię słuchała, dusza jej tkwiła na mych ustach; a gdy wołała na mnie po imieniu, cała jaśniała radością. Słowem, stanowiła ona urocze dopełnienie mego jestestwa, dwoiła mi życie.

Ale owa przeklęta kukułka jegomości, której złowrogie krakanie aż na piętro zalatywało, oznajmiała ciągle przez zazdrość, że szczęśliwe chwile święta naszego mijały szybko, bezpowrotnie, jak błogi sen, co się jeno raz w życiu pojawia, zostawiając po sobie czarowne wspomnienie — tylko wspomnienie.

Aniśmy się spostrzegli, kiedy ranek się zbliżał. Nie mógł on wprawdzie z ciekawości zajrzeć do nas przez okna, gdyż osłonięto je gęstemi kotarami. Lecz na szczęście wierna Kasia czuwała, gdy my upojeni szałem zabawy, zapomnieliśmy o świecie całym.

Kasia wpada zadyszana z zawiadomieniem, że już jegomość „wstali" i przechadzają się koło stodół. Nie było chwili do stracenia, wypadało się jak najprędzej wynosić.

Rozpłakała się tkliwa Wanda przy rozstaniu; zabłysła brylantowa łezka i w oku jej przyjaciółki.

Opuszczając dwór z towarzyszem podróży, obejrzałem się nań razy kilka. Dorodne dziewice stały już na balkonie. Wandzia była nieruchoma, wsparta o poręcz z rękoma na krzyż złożonemi. Minąwszy wrota popatrzyłem jeszcze na nie chwilkę i dostrzegłem mignięcie chusteczki; — poźniej, gdy się znowu obejrzałem, już ich nie było.

Rozstaliśmy się, aby się więcej niestety nie ujrzeć! Wszystko się jakoś dziwnie plecie na tym padole goryczy...

IV.

ETAP.

Myśl o was, jak trupią woń,
Będą odganiać potomni,
Będą schylać smutną skroń,
Ile razy kto was wspomni.

Jest plac na Pradze; obok płynie wartko Wisła; ponad nią rozpościera się na wyżynie majestatyczna Warszawa, niby olbrzymia dekoracya z czarownej melodramy, przeglądająca się w wód przeźroczu; w obłokach sterczą świątyń szczyty, jak palce groźnie ukazujące ku niebu; na kopułach świątyń jaśnieją krzyże, godła miłości i przebaczenia; a na uboczu widać czerwone, jakby krwią zbroczone, mury cytadeli, więzienia zbudowanego dla myślicieli.

Słowem, jestto polska Golgota, w całej świetności i grozię, ze wszystkimi skarbami jej kamiennej historyi, i całem jej dzisiejszem poniżeniem.

A sama Praga, to ziemia przesiąkła krwią męczeńską, która popłynęła ku Wiśle szeroką strugą, znacząc pierwszy pochód na tej drodze ofiar, jaką naród iść miał od tej pory.

Po nad Pragą szerokim łukiem wygięła się z tęczy brama, na wypłakanej rozwieszona chmurze; a na jej placu, zwanym punktem zbornym, stoi etap moskiewski. Stoi i czeka.

Szaremi opończami przyodziana drużyna, spędzona na ów punkt za pośrednictwem knuta, ma lada moment wyruszyć razem w daleką pielgrzymkę, aby się potem rozpierzchnąć po bezludnych stepach, jak liście pędzone jesiennym wiatrem. Kozactwo ją otacza. Każdy się żegna z kim może, i każdy rzuca błędnym wzrokiem na gród ojczysty, który za chwilę zniknie mu z widowni na zawsze. Każdy się żegna z nadzieją!

W tem wychodzi z kancelaryi wojskowej uradnik kozaczy, najstarszy dozorca orszaku więziennego. Ma skórzaną torbę na piersiach, szablę u boku i nahajkę w dłoni. Wąsy mu sterczą po za uszy. Władza nad nieszczęśliwymi nadyma jego dziką naturę, połączoną z zepsuciem niewoli; siada na koń, komenderuje przyszłymi obrońcami ojczyzny, i na dane hasło pochodu, nasza procesya rozwija się do marszu, a potem snuje się zwolna

pomału, smutno, coraz dalej za Warszawę, zdążając ku wieczności.

Ponury pochód zbliża się nakoniec w milczeniu do pól grochowskich, do owego Maratonu polskiego, gdzie ongi po całodziennej walce na niwie zasłanej trupami, prowadzone przez starców, wiodąc z sobą dzieci sieroty, postępowały zwolna wdowy Laszki, szukając każda swego... poznając każdego po broni, co przy nim leżała... i przy każdym „Moskali dziewięciu". Aż sokół, zataczający w przestrzeni kręgi, zwolnił lotu i widowisku się temu przypatrywał, nim znowu pofrunął pustkowiem, aby braciom orłom opowiedzieć, co widział, aby z nimi podumać i pogwarzyć o tem, jak za wolność walczy Lecha plemię.

Przy tych polach, przy tym polskim Maratonie, jak gdyby na urągowisko przystanek etapu, ostatnie pożegnania, łzy tych, co mieli iść w nieskończoność, i tych, co zostawali!

Któryś tam z towarzyszów niedoli odezwał się na harmonijce. Rzewne tony pogrzebowego marsza przejęły mię na wskroś.

— Poczekaj!... jeszcze chwilkę! — zawołałem do żegnającego mię kolegi Bolesława. Wszak to dziś rocznica urodzin Wandzi — prześlesz jej na wieś moje najlepsze życzenia, gdy mnie już tutaj nie będzie.

I wziąwszy od niego pugilares, usiedliśmy na murawie przy fosie gościńca; Bolesław przyłożył chustkę do oczów, gdy ja tymczasem skreśliłem dwie następujące strofki:

Gdybym był wolnym, miał sławę, dostatki,
Wszystko bym Tobie podesłał pod nogi;
Gdybym tak w życiu napotykał kwiatki,
Jak napotykam i ciernie i głogi,
Zwiłbym Ci, Wando! tak uroczy wieniec,
Jakiego żaden nie uplótł młodzieniec.

Lecz — że nic nie mam, nad żałośne pienie,
Co właśnie duszy przygrywa,
Składam Ci więc proste, lecz szczere życzenie:
Bądź wiecznie, wiecznie szczęśliwa!

I nasz etap ruszył dalej zwolna, pomału, smutno, w milczeniu, a smętna harmonijka ciągle mu przygrywała; a przyjaciele nasi, którzy nas opuścić zmuszeni byli, stali na szosie jak drogoskazy, spoglądając ku nam i potrząsając głową. Odeszliśmy już daleko, przesłaliśmy im już ostatnie skinienia, a jeszcze patrzyli za odchodzącą szarą procesyą rodaków, dopóki im nie zniknęła w tumanie kurzawy.

* * *

W kilka lat po tej przygodzie, przechadzałem się z kolegami oddanymi w sołdaty po nad stromym brzegiem Uralu, toczącego swe nurty spienione w stepach azyatyckich; w tem dano nam znać, że świeży przypędzono etap, a z nim i kilku ziomków z Kongresówki.

Biegniemy co prędzej na powitanie przybyszów; każdy w uniesieniu tęsknoty i nadziei spodziewa się jakiejś pomyślnej nowiny z kraju. I nie dziw! gdyż dla uciemiężonych i dotkniętych, dla nieszczęśliwych i upadłych, jest słowo jedyne, broniące ich od zwątpienia i rozpaczy, od kału niewolniczego błota, słowo dodające siły i otuchy, a tem słowem — nadzieja.

Ten pyta, co się święci w Polsce? tamten chce się dowiedzieć, co słychać w całym świecie? kto tam na świeczniku stoi? na co się zanosi? ów nalega o wiadomości o jego krewnym lub dobrym znajomym; jak gdyby przybywający do ich grona rodak wiedzieć o tem wszystkiem powinien i był w stanie zaspokoić ich ciekawość w ogóle i każdego po szczególe.

Gdy się do woli wygadali, zwróciłem się do jednego z Warszawian, co miał pokrwawione ręce od żelaznej sprzęży, i zagadnąłem z niechcenia:

— Czy nie słyszałeś przypadkiem zacny kolego o losie panny Wandy S...?

— Wanda? Wanda S....?... Tak, tak... przypominam sobie... Owa piękna blondynka z Marienstadtu. Wprawdzie znałem ją tylko z widzenia, ale wiem z pewnością, że nie zbyt dawno temu wydano ją za mąż, i wkrótce potem umarła.

Na tę wieść nie byłem zdolnym wyrzec ani słowa; żadna skarga, żadna łza, żadne narzekanie ani bolesne westchnienie nie rozdarło duszy mojej, — uczułem tylko ściśnienie pod piersiami, jak gdyby tam coś przewijało na motowidło przędzę mego żywota. Byle jak najprędzej za nią! pomyślałem — czeka na mnie w grobie.

Tymczasem w bęben uderzono na capstrzyk, chwiejącym krokiem potoczyłem się więc do koszar.

W izbie krzątało się zajęte sobą żołdactwo; okropne nasuwały się oczom fizyognomie różnorodnych indywiduów, rojących się w dusznej atmosferze. Jedni czyścili karabiny, tarcie ich cegły o stal i mosiądze wydawało pisk drażniący nerwy. Drudzy naprawiając bóty, stukali młotkami nielitościwie. Inni, jak szaleni w szpitalu, nucili wesołe piosenki, przy odgłosie wybijanych chołupców i o trzech strunach bałabajki. Inni nakoniec raczyli się blaszankami wódki, a ich rozczochrane bachantki wyskakiwały prysiudy, rodzaj rubasznego moskiewskiego kankana.

Wyziewy — hałas — ścisk — harmider — piekło nie do opisania!

Usiadłszy w kącie izby pod wrażeniem cierpkiej wieści przed chwilą odebranej, otulony w szarą żołnierską siermięgę, patrzyłem obojętniej niż zwykle na obrzydliwą scenę koszarową. Wszystko, co się koło mnie snuło, zdawało mi się być jakąś marą, nie mającą żadnego związku ze mną.

Potem zwolna zaćmił mi się ów straszny obraz przed oczyma, i tylko głuche zgrzyty, nie wyraźne skrzypienia, dochodziły zmieszane do mego ucha, szum po sobie zostawiając, bez zwrócenia na się uwagi; w końcu i te ustały.

Natomiast ujrzałem przed sobą katafalk, jarzącemi okolony świecami. Na rogach stały żałobne z trupiemi czaszkami słupy, a na nich kagańce, z których wybuchał płomień zielonawy, buchał i ustawał, jak gdyby znużony. Czarny całun pokrywał stopnie, z umieszczoną na nich trumną karmazynową.

Po stopniach zbliżyłem się zcicha, na palcach do trumny. Spoczywała w niej Wanda w białej szacie, z rozmarynowym liściem w kędziorach jasnych włosów. Na jej oniemiałych ustach zawisł uśmiech łagodności i słodyczy, a na czole zwyczajna pogoda. Spała snem błogosławionym; sen zaś ów, nie przerwany ani szaśnięciem myszki, trwał długo, bardzo długo.

W to oblicze niebianki, usadowiwszy się na gradusach katafalku, wpatrywałem się spokojny, jak gdyby oderwany od świata, jak gdyby mi się nic złego nie przytrafiło.

W tem nadlatuje mucha brzęcząca i mącąc smętną ciszę zatacza kółka nad jej wezgłowiem. Wuczy, furka, podlatuje do góry zygzakiem, potem zrzędzić przestaje i raptem pada na śnieżne lica dziewicy... grzebie nóżkami i wysuwa żądło... już uczuwam ból, który ma zadać ukąszeniem mej oblubienicy, poruszam gałązką, aby odpędzić jadowitego owada, co mi ją chce przebudzić; gdy nagle usuwa się i gdzieś ginie katafalk; słyszę nanowo zgiełk sołdacki, fetor dziegciu uderza me powonienie, a zamiast trumny widzę prycze żołnierskie i ogromną muchę bujającą z brzękiem w powietrzu.

I znowu świat rzeczywisty, świat brudu i męki!...

Od tej pory nieboszczka przychodziła do mnie, lecz coraz rzadziej; gdyż zapewne lepiej jej było na tamtym świecie. Pocieszała mię ona czasem wśród ciężkiej niewoli, jak gdyby przez to okazać pragnęła, że niespożyty duch jej unosi się zawsze nademną; widywałem niekiedy jej drobną twarzyczkę z pomiędzy chmur uśmiechającą się wdzięcznie ku mnie, żeby mi się samemu nie nudziło, kiedym stał opuszczony na warcie.

A dziś, po latach wielu, skoro się cieszę osobistą, zupełną wolnością, nawiedziła mię jeszcze, może raz ostatni, podczas gdy tę kartę kreślę, aby się naocznie przekonać, czy się nic u mnie nie zmieniło, i czy na jej mogile w sercu mojem nie zwiędły cyprysy.

Nie — nie zwiędły kochanie! ty tam żyjesz zawsze aniele.

Tak... ty żyjesz! Fosa za mała, aby pogrążyć cię w nicości i zapomnieniu.*)

*) Pamiętnik pod tytułem „Gdy się było młodym; wspomnienia z podróży po szerokim świecie“, z którego podałem powyższe urywki do „Strzechy“, wyjdzie całkowicie w osobnej książce.

J. Gordon, Lwów, 363¦.

Komety, gwiazdy spadające, kule ogniste i meteoryty.

Między zjawiskami, okazującemi się na niebie, już od najdawniejszych czasów szczególniejszą na siebie zwracają uwagę ciała niebieskie, które się tak swoją niezwykłą i rozmaitą postacią i nadzwyczajną wielkością, jako też nagłem i niespodziewanem pojawianiem się i znikaniem i dziwnym biegiem od innych odznaczają. Są to komety.

W przeciągu całego historycznego czasu spostrzeżono około 500 komet, między którymi jednak znajduje się tylko dwieście kilkadziesiąt takich, których koleje mniej więcej dokładnie obliczyć zdołano. W nowszych czasach, przy więcej wydoskonalonych dalowidach, liczba spostrzeganych komet coraz więcej się wzmaga.

Ponieważ wyliczenie wszystkich znakomitych komet przechodziłoby o wiele granice niniejszego pisma, przeto ograniczymy się na zestawieniu tylko tych komet, które w ostatnich kilku latach były widzialne. Najokazalszym był kometa odkryty dnia 4. czerwca 1858 przez Donatego we Florencyi. Z początku był tylko teleskopowym, w sierpniu zaś widać go było wolnem okiem, i przez dwa miesiące pyszny przedstawiał widok. Głowa jego miała 396 mil w średnicy. Ogon jego rozlegał się na 40⁰. Masa jego obliczoną została na $\frac{1}{700}$ masy ziemi, a czas obiegu na 2030 lat.

W lecie roku 1861 okazał się inny kometa, który widzialnym był aż do następującego roku. Zjawił się niespodzianie 30. czerwca, w którym to dniu był najbliżej ziemi, i przeszedł przez ekliptykę. Odznaczał się on takim blaskiem, iż we wielu miejscach myślano, że to łuna pożaru. Ogon jego ciągnący się przez konstelacye wodnika, smoka, lutni aż do orła na półkuli południowej, miał 4,350.000 mil długości. Dnia 29. czerwca, więc o jeden dzień pierwej, nim przeszedł na północną stronę ekliptyki, przeszła ziemia przez jego ogon, w którym przez blisko 4 godziny na głębokość 55.000 mil była zanużoną, a księżyc zanużył się jeszcze głębiej w masie tego komety.

Oprócz tego zjawiły się w roku 1861 jeszcze dwa inne komety, które chociaż nie były tak świetne jak poprzedzające, jednak odznaczały się szczególnie szybkiemi zmianami swych postaci.

W następnym roku widziano także trzy komety, w r. 1863 spostrzeżono sześć, a w r. 1864 pięć komet.

W roku 1867 odkrył Baeker, zegarmistrz w mieście Nauen w Prusiech, kometę dnia 27. września, którego kolej astronom Tietien obliczył.

Ostatnie te komety były teleskopowe, wskutek czego mniej zwracały na siebie uwagę publiczności.

Komety należą po większej części do systemu naszego słońca, lecz koleje ich różnią się tem od kolei planet, że gdy te ostatnie są elipsami mało odśrodkowemi, wskutek czego planety przez cały czas swego obiegu są albo wolnem okiem, albo przez dalowidy widzialne, to koleje komet są bardzo odśrodkowemi elipsami albo też parabolami lub hiperbolami, których ramiona w nieskończoność się rozciągają, przezco komety we większej części swych obiegów znajdują się w oddaleniach tak wielkich, że ich nawet przez silne dalowidy dojrzeć nie można. Oprócz tego zachodzi między kolejami planet a komet jeszcze ta różnica, że planety krążą około słońca w kierunku od zachodu ku wschodowi, komety zaś nie wszytskie zachowują ten kierunek, gdyż niektóre z nich krążą od wschodu ku zachodowi. Zgadzają się jednak koleje komet z kolejami planet w tem, że bez względu na to, czyli są elipsami parabolami lub hiperbolami, w każdym razie stosują się komety w swych obiegach do drugiej ustawy Keplera; to jest, chyżość komety jest zawsze taka, że promień wodzący, pociągnięty od słońca do komety, w równych czasach równe przebiega płaszczyzny przestrzenne.

Najczęściej okazują się komety w postaci gwiazdy, której jądro świetlące otoczone jest jasną mglistą osłoną, przedłużającą się w jednym kierunku w ogon, którego długość często kilka milionów mil wynosi. Ogon ten miewa różne postacie, czasem bywa prosty, w innych razach zagięty, lub ma postać wachlarza, bywa także podwójnym lub kilkakrotnym i wielkim podlega zmianom. Są także komety nie mające ani ogonów ani jądra, a przedstawiające się tylko w postaci jasnej okrągłej mgły. Komety są przezroczyste i nie załamują światła przez nie przechodzącego, i to nie tylko ogony i mglistości, lecz nawet same jądra. Przekonać się można o tem, jeżeli kometa stanie między jaką gwiazdą a ziemią; wtenczas bowiem nawet jądro komety nie zasłoni gwiazdy ani pozornego jej miejsca na niebie nie zmieni, z czego wynika, że komety nie są ani płynne ani gazowe, lecz składają się z części rozdzielonych próżnemi przestrzeniami. Masa i gęstość komet jest nadzwyczajnie mała, gdyż pomimo ogromnej często objętości nigdy jeszcze kometa nie wywarł swą siłą przyciągania najmniejszego wpływu na planety, i wszelkie obawy, jakoby kometa przez zetknięcie się ze ziemią mógł tejże zaszkodzić, są zupełnie nieuzasadnione.

Oprócz komet, znanem jest powszechnie zjawisko gwiazd spadających, które przelatując w nocy przez niebo wydają się jak gdyby punkty świetlące, oderwane raptownie od gwiazdzistego sklepienia niebios. Liczba tych gwiazd spadających jest bardzo rozmaita w różnych porach roku. Zwykle zjawiają się one w nie wielkiej ilości, lecz w dwóch szczególnie miesiącach roku, to jest 10. sierpnia i 13. listopada pojawiają się one nadzwyczajnie licznie, tak że np. w sierpniu 1739 naliczono w Neapolu w przeciągu czterech godzin 1000 gwiazd spadających, a w nocy z 12. na 13. listopada 1799 widzieli Humboldt i Bonpland w Cumana, w południowej Ameryce, gwiazdy spadające w tak wielkiej liczbie, jak gdyby sztuczne ognie puszczane były na niebie. Wielkie kule ogniste łączyły swe żółtawe światło z białym połyskiem gwiazd spadających.

Równie zajmującem i pięknem było zjawisko z 13. listopada 1833. „Widziano meteory“ pisze Arago „wzdłuż południowego brzegu Ameryki aż do Halifax, od 9tej godziny wieczorem aż do wschodu słońca, a w niektórych miejscach nawet w biały dzień po 8mej godzinie rano. Gwiazdy były tak liczne, pojawiały się w tylu stronach nieba, że licząc je można było doprowadzić tylko do liczb przybliżonych. Olmsted, który spostrzegał w Bostonie, porównywał je w chwili, gdy najgęściej spadały, z połową liczby płatków śniegu, przy zwykłej zawiei śnieżnej. Gdy zjawisko znacznie się już zmniejszyło, naliczył 650 gwiazd w przeciągu 15 minut, pomimo że przy swych spostrzeżeniach ograniczał się na ledwie dziesiątej części widzialnego horyzontu. Ta liczba nie wyrównywała nawet dwom trzecim częściom całej ilości, gdyż w tym razie byłby naliczył 866, a na całej półkuli widocznej 8660. Ta ostatnia liczba daje na godzinę 34.640 gwiazd; gdy więc zjawisko trwało siedm godzin, więc liczba wszystkich gwiazd widzialnych w Bostonie przechodziła 240.000“.

W latach 1866, 1867 i 1868 powtórzyło się znowu świetne to zjawisko w nocach 13. i 14. listopada. Robiono wtenczas spostrzeżenia we wielu miejscach Europy i Ameryki, przyczem liczba gwiazd spadających okazała się znowu bardzo wielką.

W ścisłym związku z gwiazdami spadającemi są kule ogniste i meteoryty, czyli kamienie spadające z nieba.

Kule ogniste pękają z wielkim hukiem, przyczem meteoryty czyli areolity na ziemię spadają. Widziano nawet w dzień meteoryty z małych szarych chmurek z wielkim hukiem spadające. Meteoryty, świeżo spadłe, są gorące i wbijają się wskutek hyżości spadania dość głęboko w ziemię. Wielkość ich bywa rozmaita: niektóre z nich ważą kilka funtów, inne kilka lub kikanaście cetnarów. Rozbiór chemiczny wykazał, że w skład ich wchodzi żelazo, nikiel, glin, siarka, miedź, fosfor i inne pierwiastki, lecz tylko takie, jakie się znajdują także na ziemi.

Jeszcze w dawniejszych czasach zrobiono spostrzeżenie, że jak to już wyżej nadmieniliśmy, niektóre roje gwiazd spadających regularnie w pewnych porach roku się pojawiają, i że wszystkie gwiazdy spadające, chociaż z różnych okolic nieba przychodzić się zdają,

i w różnych lecą kierunkach, pomimo to do wspólnego punktu wyjścia sprowadzić się dadzą," co naprowadziło na myśl, że pochodzenie ich jest wspólne. Mianowicie tyczy się to gwiazd spadających w nocach około 10. sierpnia każdego roku, i zjawiska spadania gwiazd w nocy 13. i 14. listopada, które to ostatnie zjawisko po przerwie 33 lat przez kilka lat się powtarza. Pierwszy z tych dwóch prądów gwiazd spadających nazwano podług czasu, w którym się pojawia, prądem sierpniowym, drugi prądem listopadowym. Stwierdzono oraz, że prąd sierpniowy przychodzi z tej strony nieba, w której się konstelacya Perseusza znajduje, prąd listopadowy zaś przychodzi z konstelacyi Lwa. Te dwa prądy nazwane zostały z powodu prawidłowości ich pojawiania się prądami systematycznymi, gdy przeciwnie gwiazdom, spadającym pojedynczo we wszystkich nocach roku, nadano nazwę sporadycznych gwiazd spadającch. W celu wytłumaczenia zjawiska systematycznych prądów gwiazd spadających, utworzoną została jeszcze przed kilkudziesięciu laty następujaca teorya: Co się tyczy prądu sierpniowego utrzymywano, że około słońca krąży oprócz planet i komet, także zamknięty w sobie pierścień, składający się z bardzo wielkiej liczby drobnych ciał niebieskich. Pierścień ten przecina kolej ziemi w tem miejscu, przez które ona 10. sierpnia przechodzi. Jeżeli ziemia nie znajduje się właśnie w tem miejscu, ciała wchodzące w skład tego pierścienia nie są nam widzialne. W dniu 10. sierpnia każdego roku zaś przechodzi ziemia w obiegu swym około słońca przez ten pierścień, i przeważającą swą siłą przyciągania ściąga ku swej powierzchni wielką liczbę tych drobnych ciałek, z których się ten pierścień składa. Przez tarcie o atmosferę ziemską zapalają się one i okazują się nam wtenczas w postaci gwiazd spadających.

Dla prądu listopadowego, który nie co rok, lecz tylko co 33 lat przedstawia nam o wiele piękniejsze i obfitsze zjawisko spadania gwiazd, ułożono teoryą, według której krąży około słońca nie pierścień, lecz roj takich samych ciałek, jak te, które są przyczyną zjawiska sierpniowego. Kolej roju tego, mającego wielką długość, przecina kolej ziemi w tem miejscu, w którem się ona 13. listopada znajduje. Czas obiegu tego roju około słońca, wynosi 33 lat. Bieg jego jest wstecznym, gdyż odbywa się w kierunku od wschodu ku zachodowi. Ponieważ zaś roj ten nie stanowi zamkniętego pierścienia, więc ziemia nie co rok, lecz tylko co 33 lat z nim się spotyka, a zjawisko spadania gwiazd ztąd wynikające powtarza się w okresach wynoszących lat 33. Wielka rozciągłość tego roju w kierunku jego kolei, jest przyczyną, że potrzebuje on kilku lat, aby przez kolej ziemską zupełnie przeszedł, co sprawia, że ziemia wracając w następujących 4 lub 5 latach na to samo miejsce, jeszcze na ten roj natrafia. Gdy zaś cały roj przez kolej ziemską przeszedł, przemija znowu 33 lat, nim ziemia z nim się powtórnie zdybie.

Pomimo, że te teorye były zgodne z prawdą, nie czyniły one jednak zadość wszystkim wymaganiom ścisłej umiejętności.

Dopiero w najnowszych czasach podał młody astronom Schiaparelli w Medyolonie umiejętne wytłumaczenie zjawiska gwiazd spadających. Wykazał on rachunkiem, że jeżeli istniejące po za obrębem systemu naszego słońca nagromadzenia materyi kosmicznej, które **chmurami kosmicznemi** nazwał, w zbyt wielkiem oddaleniu od jakiej gwiazdy stałej się znajdują, aby mogły wpływowi siły ciężenia tej gwiazdy podlegać, to przybierają postać wielkiej kuli. Jeżeli taka „chmura kosmiczna“ zbliży się do gwiazdy stałej albo do naszego słońca, wtenczas gwiazda lub słońce bliższą sobie część tej chmury silniej przyciąga niż odleglejszą, wskutek czego chmura przybiera postać podłużną. To przedłużenie wzmaga się tem bardziej, im więcej chmura do gwiazdy lub słońca się zbliża, tak że nareszcie masa przed tem kulista przybierze postać komety. Jeżeli ruch komety jest tego rodzaju, że kometa w starej kolei około słońca krążyć musi, wtenczas głowa jego wskutek mniejszego oddalenia od słońca hyżej się porusza, niż więcej oddalony ogon, co sprawia, że masa komety coraz bardziej się rozrzedza i w kierunku swej kolei rozciąga, aż nareszcie wzdłuż całej rozłoży się kolei i utworzy zamknięty pierścień krążący około słońca.

Zajmując się dalej badaniem tego przedmiotu zrobił Schiaparelli świetne odkrycie, że kometa, z którego powstał pierścień sierpniowy, jeszcze istnieje, i że jest identycznym z kometą nr. 3. z roku 1862, którego kolei Dr. Oppolzer w Wiedniu obliczył, i który krąży około słońca w części swego ogona, teraz w pierścień spojonego.

Tak samo obliczył Schiaparelli kolej roju listopadowego, nie mogąc jednak wynaleźć należącego do tego komety. Pracę tę uzupełnili wkrótce potem astronowowie Peters w Altonie i Leverier w Paryżu zrobiwszy odkrycie, że kometą, z którego roj listopadowy wziął swój początek, jest kometa z r. 1866, którego kolej zupełnie się zgadza z tą koleją, którą Schiaparelli dla roju listopadowego obliczył.

Kometa nr. 3. z roku 1866, krąży około słońca w elipsie bardzo odśrodkowej, przyczem zbliża się do słońca na 19,000.000 mil, a po odbytej połowie swego obiegu znajduje się na oddali słonecznej, wynoszącej 940 milionów mil. Obieg jego trwa 120 lat. W niewielkiem oddaleniu od przybliży słonecznej staje się dla nas widocznym i przechodzi dnia 28. lipca z szybkością 30 mil na sekundę przez kolej ziemską. 10. sierpnia znajduje się ziemia w punkcie krzyżowania się obydwóch kolei i przechodzi przez masę komety, wówczas znowu niewidzialnego, rozproszoną wzdłuż całej jego kolei, mającej długości 2340 milionów mil; przyczem części składowe komety na ziemię przyciągane bywają, i okazują nam się co rok o tym cza-

sie w postaci gwiazd spadających. Kometa zaś sam, który jest przyczyną tego zjawiska, bywa tylko co 120 lat widzialnym. Kometa z r. 1866, z którego powstał roj listopadowy, krąży w daleko mniejszej eliptycznej kolei około słońca. Oddal jego słoneczna dosięga kolei planety Uranusa, przybliż zaś jego jest prawie tak wielka, jak przybliż ziemi. Czas obiegu jego wynosi 33 lat i 2 miesiące. Przez kolej ziemską przechodzi on w końcu września, ciągnąc za sobą ogromny rój drobnych cząstek w postaci ogona bardzo szerokiego i mającego długości około 380 milionów mil. Dnia 13. listopada przechodzi ziemia przez ten ogon, którego cząstki, przez ziemię przyciągane, jako drobne gwiazdeczki lub wielkie kule ogniste w bardzo wielkiej ilości na nią spadają.

Zdumiewające te odkrycia należą do najświetniejszych zdobyczy, poczynionych w naszych czasach w dziedzinie umiejętności przyrodniczych. Wykazały one, że komety, gwiazdy spadające, kule ogniste i meteoryty mają wspólne pochodzenie i wspólne koleje, i uprawniają do nadziei, że w blizkiej przyszłości zakres wiedzy ludzkiej na tem polu o wiele jeszcze rozszerzonym zostanie.

Ludwik Wierzejski.

ŻÓRAW'

BRATU KORNELOWI UJEJSKIEMU.



Oj! stanęż ja jak z młodu,
W struny moje uderzę,
I do serca narodu
Rzeknę: Polsko, ja wierzę,
Wierzę w ciebie jak w Boga,
Polsko moja ty droga.

Oj! prawdziwa ty matko,
Mazowiecka z nad piasku,
Wychowałaś mnie gładko,
Wodziłaś mnie na pasku,
Podawałaś łakocie,
To i tęskno mi do cię.

Uczyłaś mnie rodzico,
Jak się zowie to, owo,
A jam patrzał w twe lico,
Chwytał każde twe słowo,
I co wiem, to od ciebie,
O ziemi i o niebie.

Tyś mi ongi przed chatą
Ukazała przed kmiecą
One ptaki, na lato
Co do Polski zkądś lecą,
I prawiła, że z ptaki
Wrócą polskie wojaki...

Coś jak we mgle powstanie
Po mej myśli się snuło,
Jak to sioło po sianie
Po kuźnicach broń kuło,
Jak szły kośce po rosie,
Z pierwszą zorzą na kosie...

Jak rząd znikał po rzędzie,
Jak ta góra, dąb krzywy,
Spiewając, że przed żniwy
Już Moskali nie będzie.
Sztyftowały się pułki,
U tej Rawki rzeczułki.

A ja dzieciak po rynku
W tem miasteczku, w tej Rawie,
Latał, patrzał ciekawie
Jak stawali w ordynku;
Hejż! za świata granice,
Szukać polskie frejszyce...

Długom czekał — aj! długo
Tych wojaków powrotu,
Aż z jesienną szarugą
Puścił skrzydła do lotu,
Brzeg pożegnał wiślany,
Z żórawiami, z bociany.

Bom tak myślał, że może
Przypilę ich, namówię,
I że z wiosną jak zorze
Zaklekoczęć przy głowie:
Matko, matko, z gospody
Dla konika daj wody.

Skoczże matko na nogi,
W koło cisza, wioska w śnie,
A ubogi u drogi
Wojak leży ledwie tchnie.
Oj! nie we śnie, na jawie
Owoż twoi żórawie.

Ja tak wołam, a stroną
Bieży wiejska drużyna,
A drzew kępą zieloną
Wioska chwiać się poczyna,
Wszystko k' nam się sposobi,
Dziecię nóżką już drobi.

Łzy, radość, witanie,
Dziewki krzyczą czeczotki:
Witaj Janie, hułanie!...
Prowadzą nas w opłotki,
Rwą mi serce, rwą duszę,
Co się spojrzę — łzą pruszę.

Swoi, swoi, w krąg swoi,
Gnę się jak kur na wieży,
Moja lipka hej stoi,
A głaz leży, oj leży.
I na wodzie ta kładka,
Gdzie bieliła len matka...

Zabrały mnie żórawie,
Rozwinął się sznur szary,
A gdy z nimi się spławię,
W tych błękitach bez miary,
Lecę, lecę, wiatr gonię
Po dalekiej po stronie.

Przeleciałem dość drogi,
Siła nie wiem, lecz wiele,
Wychudziły się nogi,
Przyschła skóra na ciele,
I włos puścił się siwy,
I ja żóraw prawdziwy.

Szukam, szukam — gdzie nasi?
Cisza, pustka w krąg głucha;
Może ja mam głos ptasi,
Że mnie bracia nie słucha.
Przy Sekwanie przy Nilu,
Tylu groby — ach tylu!..

Na włóczędze u świata,
Po dalekim teremie,
Miałem wietrzyk za brata,
Co obiega w dzień ziemię.
Z wiosną musnął po głowie,
Myślałem, że coś powie...

Słucham wiatru z mej błoni
W jakiś ranek gdzieś złoty,
Wietrzyk przyniósł mi woni
I ojczystej tęsknoty;
Z wiosną rosnę nie rosnę,
Z bolum ryknął na wiosnę.

I znów cisza. Raz w drodze
Na padołach u morza,
Gdy zbłąkany tak chodzę,
Klucz żórawi z przestworza
Krzyknął wiejąc skrzydłami:
Do ojczyzny hej! z nami...

Jakby wicher o drzewo —
Głos roztrącił się łzawo,
Poszły ptaki na lewo,
Jam pociągnął na prawo.
Tylkom machnął w wiatr dłonią,
Za tą wietrzną pogonią.

Wywinęła lot sznurem
Szara ona drużyna,
Wódz żórawi lazurem
Wiatr jak szablą przecina,
A dziobami w cel biją,
Jakby dzidą, kopiją...

Długo, długo wzrok czuły
Po zachodnim gdzieś słońcu
Ścigał, jak tam się snuły,
Aż na ziemię padł w końcu,
Kędym dziecię w grób złożył,
Gdzie mnie Pan Bóg zubożył...

Więcem utkwił kij krzywy,
Zwiesił głowę, ramiona,
A na lirze mej tkliwej
Z przykra pękła mi stróna,
Stróna żalu po stratach,
Po mych kwiatach i latach.

Pożegnał mnie świat ony
Z nitek srebrnych i złotych,
Słońcowany, zielony,
I nie myślę już o tych...
Świat otoczył mnie nowy,
Grzmiący w zbrojne podkowy.

Czułość, miłość — nic nie wiem,
W oczach wrogów grzmią hordy,
Gniew mnie pali zarzewiem,
Szarpię huczne akordy.
Sama ręka się miota,
Po tych strunach ze złota.

Czar mnie opadł krwi, boju,
Duchy dziwe przestare
Czasem z strun mych nastroją,
Jak słowiki gdzieś szare,
Zaszepleni zdradziecko
Coś jak zmarłe me dziecko.

Ptaszkiem nuci przez chwilę,
Skrzydłem trąca po dłoni,
Lecz wraz kończą się tryle,
Gdy głos dzwonu zadzwoni
I grobami poruszy,
Ku zdziczałej mej duszy.

Kto to sprawia — daremno —
Ja wiem, że ja mgłą błędną,
Więc nie zgada się ze mną;
Duchy jakieś pieśń przędną.
A jak krzyczą, tak dzwonię,
Czy się bronię nie bronię.

Precz złudzenia z mej struny,
Precz miłości pieszczoty;
Burzo serca grzmij w grzmoty,
Wichry, gromy, pioruny;
Przed mą duszą w oddali
Świat na strunach się pali.

Płomień, dymy wiatr wieje,
Zniża, miecie k' rozłogom,
Ręka skacze, szaleje,
Usto pieje zgon wrogom.
Krzyk przeciągły żórawi,
Pierś na wiatrach się pławi.

I z tą pieśnią szaleniec
Na kraj lecę, a po co?
Czyżbym chwytać chciał wieniec,
O który się szamocą?
Do mych lasów, do łąki,
Lecęż żebrać o dzwonki.

Nie mnie kaptur na czoło,
Ni to berło bolesne;
Wichrem lecę na sioło
Żale pędząc niewczesne,
Jako skrzydło pogody,
Na dżdże, na mgły, na wody.

Próżne, próżne to gniewy,
Duch się śmiechów nie straszy,
Spiewy polskie, nie spiewy,
W głosie żywot drzy naszy,
A kto głos nasz zagłuszy?
A kto zamknie drzwi duszy?

*

Tam nad Wisłą, w mej stronie,
Lud mój biały, sukmanny,
Przy srebrzystym swym dzwonie
Wita rozbrzask poranny;
Z oczu łuska mu spada:
Hej! gromadaż, gromada.

A kto zwątpił w te serca,
Kto zaprzeczył przyszłości,
Ten bezbożny bluźnierca,
I nie nasza kość z kości.
Życie ludu śród świata,
Kto policzył na lata?...

Waga w rękach anioła
To się wznosi, to zniża,
I świat kreśli swe koła,
Mknąc od krzyża do krzyża;
Kto się spodlił — przepada:
A ktoż podłość nam zada?

To nie z żalem — z nadzieją,
I nie we śnie — na jawie
Ku ojczyźnie w świat wieją
Nasze skrzydła żórawie.
Pękną fale potopów; —
Dalejż pieśni w świat chłopów!

Owiej czoła snem blade,
Przewiąż sioła mgłą cienką;
Na me struny dłoń kładę,
Z polską jutrznią, jutrzenką;
Polsko moja ty droga,
Wierzę w ciebie jak w Boga.

Ja co nie mam nic w świecie,
Tylko troski, mrok szary,
Nie ostatnie twe dziecię,
Jest nas więcej tej wiary;
Ku przyszłości w przeprawie
Pieśni nucim żórawie.

Wrócą tobie dni wolne —
Wolność świata konieczność;
Złe nas pobić niezdolne —
Życie ludu to wieczność.
Polsko moja ty droga,
Wierzę w ciebie jak w Boga.

T. Lenartowicz.

RYS DZIEJÓW TEATRU LWOWSKIEGO.

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

(DOKOŃCZENIE)

Ale wróćmy do dziejów amfiteatru w ogrodzie Jabłonowskich. I tutaj z czasem postarał się Bogusławski usunąć ile się dało niedogodności, wynikające z samego już położenia teatru. Najbardziej dokuczała niepogoda. Jeżeli deszcz przypadkiem padać zaczął, cała publiczność chroniła się do pałacu i czekała, dopóki deszcz nie przejdzie, aby napowrót zająć swe miejsca w amfiteatrze. Tym sposobem pewnego razu, gdy grano operę Axur, czterykroć akt czwarty, deszczem przerywany, od początku rozpoczynać musiano. Cierpiała na tem nie tylko publiczność, ale mokli aktorowie, psuły się dekoracye i ubiory. Aby zapobiedz szkodzie ztąd wynikającej, kazał Bogusławski dać daszek nad sceną, i cały amfiteatr pokryć osłoną płócienną nakształt namiotu, która się zsuwała w czasie pogody, a rozsuwała ponad publicznością, gdy deszcz zagrażał.

Przedstawienia w ogóle starał się Bogusławski zastosować do właściwości amfiteatru. Rozległość sceny i położenie jego nadawało się szczególniej do przedstawienia sztuk bohaterskich, wystawnych, wymagających wielkiej liczby osób, ewolucyi wojskowych i t. p. W roku 1797 wpadł na myśl przedstawiania melodramatów, gdzie muzyka, spleciona z akcyą, podnosiła wrażenie sztuki. Przedstawiano wówczas z wielkiem powodzeniem w Paryżu *Pigmaliona*, scenę liryczną Jana Jakuba Roussa, w Wiedniu melodramata Medeę i Jazona, tudzież Aryadnę z Naksos. Postanowił tedy Bogusławski na wzór tych sztuk napisać melodramat dla amfiteatru lwowskiego. Treść poddała mu osnowa bardzo wziętej podówczas książki, opisującej zdobycie Peru przez Hiszpanów. Rzecz sama, opisująca upadek zawojowanego kraju i rozpaczliwą obronę mieszkańców przed nachodzącymi ojczyznę ich nieprzyjaciółmi, miała wiele podobieństwa do położenia świeżo rozszarpanej Polski, i otwierała pole do wielu patryotycznych aluzyi, pobudzających uczucia narodowe. To samo zapewniało już powodzenie sztuce; korzystając więc z tak-

pomyślnie nadarzającej się osnowy napisał Bogusławski heroiczną melodramę pod tytułem Izkahar, król Gwaxary. Wystawa była przepyszna, dekoracye świetne. Bitwy staczane na scenie, zburzenie zamków królewskich, pożoga miast, widok morza i wschodu słońca w ostatniej scenie, wszystko to ogromne sprawiało wrażenie. Komenda wojskowa pozwalała Bogusławskiemu brać z miejscowej załogi tylu żołnierzy, ilu potrzebował do przedstawienia, a z arsenału zbroje i broń a nawet armaty. Podczas bitw grzmiały tedy prawdziwe działa, jedne ustawione na scenie, a drugie na pobliskich wzgórzach za sceną. Pobudzony powodzeniem tej sztuki napisał Bogusławski drugą w podobnym sposobie pod tytułem Amazonki. Studenci gimnazyalni, poprzebierani za amazonki, tworzyli całą armię. Publiczność dziwiła się, zkąd Bogusławski wziął tak liczne hufce dziarskich dziewcząt, nie domyślając się, że to w lśniących zbrojach szesnastoletnie chłopaki tak wybornemi są amazonkami. I w tej sztuce główne wrażenie sprawiały dekoracye. W ostatniej scenie Termodont tworzył kaskadę; Grecy szturmujący do miasta amazonek rzucali się w wodę i tworzyli pomost z tarcz nad głowami. Wszystko to sprawiało ogromne wrażenie, a jak wielkie było zajęcie publiczności, daje nam miarę zdarzenie następujące: Ostatnia scena Iskahara przedstawia wschód słońca nad morzem. Otóż przedstawienie tak się przeciągnęło, iż cała noc upłynęła, a w scenie, o której mowa, zamiast sztucznego słońca wzeszło właśnie z tej strony słońce prawdziwe i promieńmi poranku ozłociło powierzchnię sztucznego morza, udane skały i wzgórza prawdziwe i rozłożystych lip wierzchołki. Burza oklasków powitała ów widok wspaniały. Jest to jedyny może wypadek w dziejach teatru całego świata, aby z takiem zajęciem przypatrywano się przez noc całą aż do białego dnia widowisku scenicznemu. Wypadek ten daje dobrą miarę zamiłowania publiczności ówczesnej w teatrze.

Z tem wszystkiem dni powodzenia sceny polskiej we Lwowie były policzone. Zbliżyły się wypadki polityczne, które uwagę całej Polski na siebie zwróciły, a za tem poszło zupełne zaniedbanie teatru. Zaledwo po kilka osób bywało na parterze. Bogusławski ujrzał się zmuszonym pomyśleć o rozwiązaniu kontraktu z Bullą, do czego szczęściem upoważniał go umieszczony w kontrakcie warunek, iż po dwóch latach umowa będzie mogła być rozwiązaną. Dwa lata właśnie upływało, zaczem Bogusławski zamierzył korzystać z dobrodziejstwa onego warunku.

A gdzież był naówczas i co porabiał Bulla? Oto gdy Bogusławski na jego kieszeń pracował, gdy wszystkie dochody z teatru polskiego szły na podźwignienie sceny niemieckiej i opłacenie długów Bulli, on tymczasem przewidując, że w okolicznościach, na jakie się zanosiło, już go ani Bogusławski, ani scena polska uratować nie zdoła, myślał o wyciśnięciu ostatnich z przywileju swego korzyści, i od dłuższego czasu siedział w Wiedniu starając się osobiście o to, ażeby rząd nakazał gminie miasta Lwowa kupić u niego teatr i dom redutowy wraz z przywilejem, przyjmując oraz na siebie wszystkie długi jego.

Takim to sposobem zostało miasto zmuszone do nabycia onego w formie dobrodziejstwa narzuconego mu ciężkiego brzemienia, tłoczącego obecnie od lat dwudziestu kilku fundacyą Skarbkowską; od którego to ciężaru pomimo starań gminy i sejmu, i domagającego się o to głosu powszechnego a nawet wymagań ludzkości, uwolnić się do dziś jeszcze nie możemy.

Bogusławski rozliczywszy się z Bullą, wszedł w umowę z Truskolawską o objęcie teatru warszawskiego, i dnia 7 maja 1799 wyjechał na zawsze ze Lwowa. W podróżnym tłomoczku wywiózł wierzytelności zahypotekowane na domach Bulli i 12.000 własnego długu, który potem z Warszawy spłacać musiał. Tak więc pomimo tak znacznych dochodów, jakie scena polska przez lat pięć przynosiła Bogusławskiemu we Lwowie, pomimo hojnych darów, jakimi przychodzili mu w pomoc obywatele tutejsi, jak Kazimierz Rzewuski wielki pisarz koronny, Potocki wojewoda Bełski, hrabina Wielhorska żona Wielkiego kuchmistrza koronnego, która pewnego razu dla wyzwolenia Bogusławskiego z trudnego położenia swe klejnoty przysłała, tudzież innych nieznajomych dawców i miłośników sceny ojczystej, pomimo tego wszystkiego zamiast korzyści wywiózł Bogusławski ze Lwowa tylko długi; bo wszystkie te dochody poszły na podtrzymanie teatru niemieckiego i opłacenie długów Bulli. Pasożyt niemiecki pochłonął pięcioletnią pracę Bogusławskiego i plon entuzyazmu publiczności dla sceny ojczystej. Czyż nie są to te same dzieje, które się dziś w naszych oczach powtarzają, tylko że rolę Bogusławskiego odgrywa obecnie fundacya śp. hr. Skarbka. Tout comme chez nous.

Przedstawienia w amfiteatrze zamknięte zostały operą: Drzewo Dyanny, przekładu Jana Nep. Kamińskiego. Imię to wiąże się nierozdzielnie z dalszemi dziejami teatru lwowskiego. Młodzieniec, którego pierwszy utwor sceniczny, Drzewo Dyanny, zamykało pierwszą epokę teatru polskiego we Lwowie, owego teatru, że tak powiem, tymczasowogo, stał się po leciech dziesięciu twórcą stałego teatru polskiego we Lwowie, a pracą, talentem i wytrwałością położył węgielny kamień przyszłej jego świetności. Tak tedy Drzewo Dyanny było niejako ogniwem wiążącem dwie epoki teatru lwowskiego — Ustępował Bogusławski, rozpoczynał zawód Kamiński.

Zamiłowanie teatru zgromadziło gronko miłośników, którzy utworzyli stały teatr amatorski i grywali w pałacyku Wronowskiego. Pałacyk ten stał się schronieniem muz ojczystych; trwało to przez lat kilka. Duszą tego teatru był już wówczas Kamiński. Tam wymykał się

młodziutki student, wyrostek, z ławki szkolnej i z bijącem sercem, z powstrzymanym oddechem przyglądał się grze amatorów, schowany w orkiestrze po za futerał basetli, aby nie spotkać się z surowym wzrokiem ojca pomiędzy widzami. Był to przyszły Talma polski, Antoni Bensa. Z takich to początków wzrósł przyszły teatr polski. Twórcą jego, jak powiedzieliśmy, był Jan Nep. Kamiński.

Godny Bogusławskiego następca, podobnie jak tamten jakby przez Opatrzność ku temu samemu celowi zesłany i tym samym hartem duszy i namaszczeniem obdarzony, utworzył Kamiński w r. 1809 stały teatr we Lwowie. Nie będę opisywał trudności, jakie przełamać na razie i z jakiemi nieustannie bić się musiał. Żelaznej na to potrzeba było woli, a szczególniej owego powołania, jakie ogrzewało pierś Kamińskiego, uzbrajając go nieugiętością woli. Oprócz wytrwałości, aby postawić scenę narodową, jak to uczynił Kamiński, potrzeba było jeszcze wielkiej znajomości rzeczy, głębokiej nauki, rozległej wiedzy, wielkiego oczytania w literaturze swojej i w obcych, gorącej miłości sztuki, pisarskiego talentu. Wszystkie te przymioty posiadał Kamiński. Był to mąż pracy, miłujący nauki, myśliciel miewający jenialne poglądy, lubo częstokroć zbyt ekscentryczne; ale to tylko na polu badań filozoficznych. Tam fantasta, w rzeczach sceny był on doskonałym praktykiem, liczącym się ściśle z jej stanowiskiem i potrzebami, znający dokładnie wymagania i stopień wykształcenia publiki i umiejętnie wedle tego kierujący sceną. Sam aktor, znał on ją z doświadczenia i był wybornym nauczycielem dramaturgicznym. Główną zasługą jego było, iż poglądem jenialnym umiał rozpoznać talenta prawdziwe, wyszukać je, otoczyć się nimi i wskazać im drogę samodzielnego rozwoju. Tym sposobem Kamiński zgromadził około siebie grono utalentowanej młodzieży, był jej nauczycielem i wzorem, stworzył z niej artystów, którzy przez lat trzydzieści utrzymali scenę lwowską, wznieśli ją na stopień rzadkiej świetności i świetnieli na niej sami tak długo, dopóki aż przygnębieni starością, ulegając zwykłej rzeczy ziemskich kolei, nie zgaśli jak gwiazdy spadające z horyzontu sztuki, jeden po drugim, ustępując miejsca młodszym talentom i nowemu porządkowi rzeczy.

Kamiński to znalazł i wprowadził na scenę takie jenialne talenta jak Jan Nowakowski, Smochowski, a w drugim rzędzie Starzewski, Rudkiewicz, Kostrzewska, poźniej Rudkiewiczowa, i inni, z których się tak dobrane Towarzystwo sceny polskiej we Lwowie złożyło. Bensa, przebywający już wówczas w Krakowie, przybył do Lwowa do Kamińskiego na wieść o otworzeniu tutaj stałego teatru.

Na barkach Kamińskiego spoczywał cały ciężar tej młodej sceny. Otaczali go sami uczniowie; on musiał im zastąpić całą szkołę dramatyczną, a skutki okazały, jak wyborna to była szkoła. Oprócz znajomości trajedyi klasycznej, znał Kamiński doskonale literaturę niemiecką, angielską i hiszpańską; tłumacz Szyllera, Kalderona i Szekspira, rozumiał doskonale ducha nowej literatury romantycznej i nowożytnego dramatu, tudzież najnowsze pojęcia i prawidła dramaturgii; a jak wysoko i prawdziwie oceniał zadanie i znaczenie sceny, to najlepiej z jego własnych następujących słów się okazuje:

Scena zabawą czczą nie jest dla gminu,
Ani jest wiechą podłego rzemiosła;
Ona ze skały skry bije do czynu,
Maską gmin wabi... aby go podniosła!

Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,
Kto czczej zabawy szuka w niej powodu;
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu.
Jeden tam węzeł dwie struny kojarzy,
Co jedna czuje — druga ma na twarzy;
Jedna się w drugą przenosi pochopnie,
Kształtu i nauk wykazuje stopnie.

Te są korzyści, te pożytki sceny.
Z dawnych już wieków ta nam prawda świeci:
Za ołtarz ludu miały ją Ateny —
Nią każdy naród dziś głośno się szczyci!

A przecież, pomimo że z tego wszystkiego, cośmy powyżej powiedzieli, okazuje się niezaprzeczenie, że Kamiński był jak najzdolniejszym kierownikiem sceny, że znał jej powołanie i miał jasno cel wytknięty, mocno byśmy się omylili sądząc, że Kamiński od razu wprowadził na scenę Szyllera, Szekspira i Kalderona, że repertoarz jej ujrzymy przeważnie zapełniony klasyczną trajedyą i dramatem. Jakżeby się zdziwił ten, co w mniemaniu takiem zajrzawszy do repertoarzów ówczesnych ujrzałby przez cały pierwszy lat dziesiątek zamiast Szekspira i Kalderona, powtarzającą się wielokrotnie, a zawsze z uniesieniem przyjmowaną Syrenę z Dniestru, Rożka Cymbałka — lub Abelina wielkiego bandytę.

Oto zajrzyjmy na chybił trafił do repertoarza ówczesnego, a będziemy mieli miarę smaku ówczesnej publiczności i obaczymy, jakiemi drogami chodzić musiał teatr ówczesny. Oto np. w sierpniu roku 1814 szły po sobie następujące przedstawienia:

Rycerz Adello,
Straszny nieznajomy,
Intryga w oknie,
Zgoda w oberzy,
Dom waryatów,
Gaweł w Piekle,
Dziecko miłości,
Roszko Cymbałko.

Tak było w sierpniu, tak było i w innych miesiącach, tak było przez cały pierwszy lat dziesiątek. Z dramatów

przedstawiono w tymże roku po kilkakroć Abelina bandytę, Beniowskiego na Kamczatce, Puszczę pod Hermansztadem i Nieśmiertelnego Człowieka. Z komedyi powtórzono parę razy ulubionego Kajcia Tuczybrzucha. Największem jednak zawsze powodzeniem cieszyła się Syrena z Dniestru. Muzykę do niej skomponował Lipiński, spiewki coraz nowe dorabiał Kamiński, a widząc wielkie powodzenie sztuki napisał część drugą, z równem powodzeniem jak pierwsza przyjmowaną.

I zkądże pochodziło, iż Kamiński, mający tak wysokie i trafne o posłannictwie sceny wyobrażenie, karmił publiczność Syreną z Dniestru, Cymbałkiem i Nieśmiertelnym człowiekiem? Oto ztąd, iż każdy dyrektor sceny musi się rachować ze smakiem i stopniem wykształcenia publiczności; iż praktyka ma częstokroć wymagania i względy, którym zadosyćuczynić pod karą upadku niezbędnie potrzeba. Publiczność ówczesna, niemająca ani szkół dobrych, ani życia publicznego, zgoła żadnych źródeł należytego wykształcenia, otoczona systematycznie snowaną siecią obskurantyzmu, stała na dosyć niskim stopniu wykształcenia. Jedyną jej szkołą rzec można był teatr. Aby uczyć w tej skole, potrzeba było przedewszystkiem umieć zwabić publiczność, aby do niej uczęszczała, zacząć że tak powiem od elementarza i prowadzić zwolna coraz wyżej. Zacząć od Szekspira i Kalderona, byłoby to tak, jakby system wychowania zacząć wprost od uniwersytetu. Niktby do niego nie uczęszczał, bo uczniowie usposobieni zaledwie do normałki, nie zrozumieliby wykładów uniwersyteckich, chociażby te były jak najpiękniejsze. Rozumiał to dobrze Kamiński i postępował zwolna, umiejętnie. Uszlachetniając smak publiczności uszlachetniał zwolna scenę, utrzymując nieustannie sympatyczny węzeł pomiędzy nią a publicznością, bez którego scena, pozbawiona gruntu swojskiego pod nogami, staje się bezużyteczną i upaść musi.

Przeglądając repertoarz teatralny z lat ówczesnych widzimy nieustanny postęp w owym kierunku ku uszlachetnieniu smaku publiczności. W r. 1815 powtarza się jeszcze zawsze dosyć często Syrena z Dniestru, Gaweł w piekle i Puszcza pod Hermansztadem; przybywa opera: Jan z Paryża, powtarzana kilkakrotnie w ciągu roku. W październiku przedstawiono Horacyuszów. Smochowski na swój benefis dał Samsona, a Bensa Jolantę. W roku następnym dramata powtarzają się już znacznie częściej. Przedstawiono dramata historyczne Edwarda w Szkocyi, Blankę de Montfaucon, z Szyllerowskiej ballady przerobionego Frydolina, w listopadzie tegoż roku powtórzono Horacyuszów, a w grudniu pojawił się Szekspirowski Lear, w którym rolę króla Leara grał jako gość Każyński, dyrektor teatru Wileńskiego. Ku końcu tegoż roku przybyły z Warszawy dwie siostry Rutkowskie, z których Aniela, poźniejsza Starzewska, wystąpiwszy po raz pierwszy w dramacie Edward III. król Angielski i Joanna Salisbury, zaangażowaną została wraz z siostrą stale do trupy lwowskiej.

W roku następnym 1817 przedstawiono w maju Hamleta, powtórzono go w październiku, i odtąd już Szekspir, a następnie Szyller, coraz częściej powtarzani, coraz potężniej rozszerzali swe władztwo na deskach sceny lwowskiej, rugując z niej dawniejsze Syreny i Cymbałków.

Ale był jeszcze i drugi szkopuł, krępujący ręce Kamińskiemu, a to tem bardziej, im bardziej się rozszerzał horyzont sceny; tym szkopułem była cenzura ówczesna. Nie można sobie niemal już wyobrazić dzisiaj, z jaką argusową zapamiętałością cenzura ówczesna wypatrywała i wymazywała najmniejsze aluzye patryotyczne, wszystko co choćby w najdalszem znaczeniu zdawało się odnosić do polskości, do uczuć narodowych. A że cenzor był Niemiec, nierozumiejący dobrze po polsku i trzymający się tylko słów za niebezpieczne uznanych, powstawały ztąd nieraz komiczne zajścia z Kamińskim. Słowa: ojczyzna, wolność, były bezwarunkowo zabronione; ale słowa: swoboda, mógł Kamiński używać, ilekroć mu się podobało, albowiem zdarzyło się, że jeden z konsyliarzy gubernialnych nazywał się Swoboda, zatem cenzor nie mógł przypuścić, ażeby mogło być coś zdrożnego i niebezpiecznego w swobodzie, skoro Swoboda był nawet gubernialnym konsyliarzem. Na ojczyznę byłby pozwolił, gdyby — jak się tłumaczył Kamińskiemu — Polacy pod tem słowem zwracali się myślą do Wiednia, ale ci niepoprawni rewolucyoniści myślą zaraz o Warszawie. Najkomiczniejszą zaś była proskrypcya słowa: nawiasem, do którego nie wiedzieć z jakiej przyczyny cenzor przywiązywał jakieś szczególniej niebezpieczne znaczenie. Omal że nie przyszło nawet ztąd do zupełnego zerwania stosunków przyjaznych pomiędzy Kamińskim a cenzurą. Pewnego razu przywołany przez cenzora Kamiński zastał go w niezmiernem rozdraźnieniu. Zaledwo wszedł do biura, ujrzawszy go cenzor, wskazując na rozwarty rękopis świeżo oddanej pod cenzurę sztuki, rzekł z zaledwo hamowanym gniewem:

— Jakto — co to jest panie Kamiński — nawiasem? Tego się po panu nie spodziewałem i na to nigdy nie pozwolę. Nawiasem — nawiasem! Nie — nie panie Kamiński — zemną takie sztuczki się nie udadzą. Pan jesteś człowiek umiarkowany — lojalny — ja pana znam i poważam, panie Kamiński — ale nawiasem wypraszam sobie raz na zawsze.

Takie to rzeczy w onych czasach przebywać musiał dyrektor sceny polskiej.

Kiedy po wojnach napoleońskich wrócił z żołnierskiej tułaczki Aleksander Fredro i w zaciszu domowem miecz na pióro zamienił, komedye jego stworzyły nową epokę teatru polskiego. Komedye te pełne jenialnego dowcipu,

połączonego z lekkością francuską, a ze swojskich złożone żywiołów i swojskie przedstawiające typy, komedye Geldhab, Cudzoziemszczyzna, Damy i Huzary, Mąż i żona i cały szereg pomniejszych, będących prawdziwemi miniaturowemi arcydziełami sztuki, jak Odludki i poeta, Zrzędność i przekora, a w końcu Dożywocie i Zemsta, z uniesieniem przyjmowała publiczność. Aktorowie nasi, pod kierunkiem autora odbywając próby, przedstawiali je doskonale. Przez lat piętnaście były one źródłem prawdziwego humoru i roskoszą publiczności, czem są i dzisiaj jeszcze.

Przez lat dwadzieścia łamał się Kamiński z trudnościami, walczył częstokroć z niedostatkiem, daremnie starając się o utrwalenie bytu sceny polskiej, o subwencyą stałą, o poparcie ze strony zniemczałej i pod dependencyą rządu zostającej władzy gminnej miasta Lwowa. Wyjeżdżał z towarzystwem swojem do Kamieńca podolskiego, nawet do Odessy. Złamany wreszcie trudnościami, nie widząc znikąd stałej dla siebie pomocy, zmuszony był zaniechać dyrekcyi, i w roku 1830 rozwiązał swe towarzystwo.

Ustąpił Kamiński, ale nie zginęła natchniona duchem jego scena polska, którą był stworzył, bo znakomici artyści, których wykształcił, sami ją podjęli i dalej własnemi poprawadzili siłami. Był to najświetniejszy okres sceny lwoskiej. Kamiński utorował drogę—godni mistrza uczniowie iść nią umieli. Była to na scenie naszej epoka Szyllera i Szekspira, Fredry i Korzeniowskiego. Ten ostatni, połączony bliskiem pokrewieństwem z Bensą, a zachęcony świetnym stanem sceny lwoskiej, pisał dramata swe umyślnie dla Lwowa, i tutaj były one po raz pierwszy przedstawiane. Korespondując z Bensą, zastosowywał się nawet Korzeniowski w kompozycyi swych dramatów do właściwości talentu naszych artystów, idąc za wskazówkami Bensy. Gorąco interesował się przedstawieniami sztuk swych we Lwowie i coraz nowych dostarczał. Ciekawą pod tym względem jest pozostała korespondencya z lat dziesięciu pomiędzy Bensą a Korzeniowskim. Piękna kobieta, Piąty akt, Płochość ukarana, Karpaccy Górale, Żydzi, wszystkie te dramata były nie tylko po raz pierwszy przedstawiane we Lwowie, ale i umyślnie dla sceny lwowskiej napisane.

Rzeczy znacznie się odmieniły, gdy z wybudowaniem gmachu hr. Skarbka teatr przeniósł się z swego dawniejszego zakątka, a hr. Skarbek sam się zajął administracyą teatru. Dalsze dzieje sceny naszej są już nam wszystkim znane, bośmy własnemi na nie patrzyli oczyma, powtarzać więc ich nie będę i ograniczę się tylko na parę ogólnikowych rysów.

Hr. Skarbek, magnat i fundator nowego teatru, zaczął nieco despotycznie postępować z artystami i tem zraził ich sobie. Faworyzował młodszych, Dawisona i Aszpergerowę. Bensa odjechał do Wiednia. Nowakowski na czas dłuższy opuścił scenę. To wszystko nie szło na korzyść sceny. Gorzej wszakże jeszcze zmieniły się rzeczy, gdy po śmierci hr. Skarbka oddano dyrekcyą Chełchowskiemu. Kierunek ówczesny sceny był pozbawiony wszelkiej znajomości artystycznej. Repertoarz składał się z coraz potworniejszych i straszniejszych bandyckich dramatów, dla zwabienia gawiedzi. Upadek taki sceny oburzył wszystkich, zewsząd podniosły się głosy przeciw Chełchowskiemu, i doszło wreszcie do tego, iż namiestnik ówczesny odebrał mu dyrekcyą a powołał na dyrektorów zasłużonych i ulubionych zdawna artystów weteranów, Nowakowskiego i Smochowskiego.

Wielkie do ich dyrekcyi przywiązywano nadzieje, które się wszakże nie spełniły. Zamiast wznioślejszego, poważniejszego kierunku sceny, ujrzeliśmy wznawiane z przed lat trzydziestu sztuki, nieodpowiedne usposobieniom i wymogom publiczności — dyrekcya wprowadziła operetki i wodewile dla zwabienia publiczności, z dramatu wyłączne niemal berło dzierzyła pani Birch Pfeifer. Raz lub dwa razy do roku grano Zbójców Szyllera — Intrygę i miłość. Z sztuk narodowych powtarzano nieustannie Łobzowianów i Zemstę — z niedzielnych: Rycerzów mgły. Taki zwrot sceny wywoływał coraz większą niechęć publiczności; dyrekcya tłumaczyła się brakiem artystów do przedstawiania szuk wielkich klasycznych:

— Chcecie Szekspira, Szyllera — powtarzał nieraz śp. Nowakowski odpierając owe zarzuty — lecz dajcie, dajcie aktorów, a ja wszystko zrobię dla publiczności i dla podźwignienia instytucyi. Ja uczciwych statystów znaleźć nie mogę — a wy chcecie bohaterów — chcecie Szekspira!

Z temi samemi, ba ze stokroć większemi trudnościami zmuszona jest walczyć obecna dyrekcya. Jeżeli się śp. Nowakowski użalał na brak artystów, to czasy obecne pewno nie są szczęśliwsze pod tym względem. Dyrektor dzisiejszy sceny czyni co może, aby scenie lwowskiej dostarczyć zasobu młodych sił i talentów i znakomitych wzorów. Za jego staraniem w gościnę przybył kilkakrotnie Jan Królikowski, a przybycie jego było rzec można epoką dla teatru lwowskiego. Widzieliśmy p. Modrzejewską już w okresie świetności jej talentu. Scenę usiłuje on zasilić zastępem młodzieży. Ileż z tem nie łączy się trudności! Miejmy nadzieję, iż założona przez nas szkoła dramatyczna*) ułatwi pracę przyszłym sterownikom sceny, iż za jej pomocą gród nasz, w którym urodził się Ziołkowski, który wydał Bensę, Nowakowskiego, Smochowskiego, wyda jeszcze i w przyszłości nie jeden świetny talent, który stanie w równym z tamtymi rzędzie i równe dla uświetnienia sceny ojczystej położy zasługi.

*) Niniejszy artykuł odczytany był przez autora publicznie przy sposobności uroczystego otwarcia skoły dramatycznej na dniu (21. listopada 1869 r.)



Flisacy w podróży do domu.

Kronika.

Prawie jednocześnie ukazały się na świat dwie powieści dwóch utalentowanych powieściopisarzy, pp. Łozińskiego Władysława i Bałuckiego Michała, obie wydane we Lwowie. Tem chętniej powiemy o nich razem słów kilka, że łączą one wspólne zalety ze wspólnemi wadami. Różnice, zachodzące pomiędzy niemi, pozwolą nam lepiej uwydatnić ich odrębne przymioty lub błędy.

Najnowsza powieść p. Łozińskiego nosi tytuł Hazardy, a p. Bałuckiego: Życie wśród ruin. Obie one są tak napisane, że dają się czytać z natężoną ciekawością od początku do końca. Jest to wielka zaleta powieści, nie potrafi ona jednak odkupić pierworodnego grzechu, jakim jest w powieści niejasność koncepcyi, nieorganiczność tematu. Temat w swoim pierwszym zarysie powinien mieć linie nadzwyczaj proste, wyraźne i pewne, ażeby przy dalszem jego rozwinięciu autor miał ciągle te linie na uwadze, i sprowadzając zawsze do nich oderwane epizody i szczegóły, nadawał tym sposobem powieści swojej budowę kształtną i nie potrzebował uciekać się potem do rozmaitych podpórek, co będąc mechanicznie złączone z tematem odejmują organiczny charakter całości powieściowej.

W Hazardach temat jest rozstrzelony, a właściwie złożony z kilku poobcinanych i połączonych tematów, a połączonych nie dość silnymi węzłami intrygi. W powieści: Życie wśród ruin temat jest wprawdzie bardziej skupiony, ale obmyślany tak pospiesznie, że w toku powieści autor musi uciekać się nieraz do coups d'état, któremi najwyższa władza, tak autokratyczna jak i autorska, nie powinna nigdy szafować zanadto.

Ztąd w obu powieściach daje się czuć brak motywów, w obu powieściach są pewne luki, przepaście, nad któremi zawieszony gmach powieści grozi runięciem; pewne tajemnice nierostrzygnięte, lub zaledwie słabym przedzierngnięte promykiem.

Tym przypadłościom musi ulegać każdy temat urodzony z czystej fantazyi, bo nie jest rzeczą fantazyi dawać nasienie, ale to nasienie przyjąć, ogrzać i rozwinąć. Fantazya jest taką macierzą, która z drobnego ziarnka potrafi piękny i obfity urodzić temat, ale potrzeba, żeby wiatr przyniósł jéj to ziarnko, żeby świat zewnętrznych wrażeń i wypadków wszedł w mistyczne z tą fantazyą małżeństwo.

Im mniej temat jest wymyślonym, im bardziej opiera się na rzeczywistem życiu, im bardziej pozwala autorowi włożyć własną przeszłość do niego i własne swoje wrażenia, tem większa pewność, że powieść będzie zdrowym i silnym organizmem, przeznaczonym na coś więcej, jak na to, żeby zaspokoić chwilową gorączkę ciekawości.

Tyle o temacie. Co się tyczy przewodniej myśli, to powieść pana Łozińskiego ma ją dość jasno i dobitnie przeprowadzoną. Jest nią nietrwałość owoców hazardu. Szczęście trwałe jest tam tylko, gdzie jest zasługa; szczęście przez przypadek przyniesione, żeby było trwałem, musi być usprawiedliwionem i utrwalonem późniejszą zasługą. Wartość szczęścia jest jak cena towaru, zastosowana zawsze do spożytej przez się pracy.

W życiu wśród ruin jednej głównej myśli przewodniej nie ma. Nie pragniemy, ażeby wymyślano dla każdej powieści osobną ideę, i ażeby ta idea jak słup ognisty przewodniczyła ciągle wypadkom powieści, bo nareszcie powieść taka przy nienaruszonej moralności swojej stałaby się niepospolicie nudną; ale możemy pragnąć, ażeby każda powieść, jako skończona, zaokrąglona całość wypadków, dawała w rezultacie pewną essencyą moralną, tak jak ją daje życie rzeczywiste.

Sytuacye w obu powieściach są nader zajmujące; ztąd powtarzamy, czytają się one z wielką przyjemnością do samego końca, gdzie przy ostatecznym obrachunku czytelnika z autorem zostaje pierwszemu po kilka pretensyi niezaspokojonych. W Hazardach zostaje kilka tajemnic nieroztrzygniętych, w Życiu wśród ruin autor nad główną tajemnicą powieści, napół zbadaną przez czytelnika, przechodzi do porządku dziennego ku największemu zadziwieniu czytelnika. Tem przejściem do porządku dziennego jest małżeństwo Alfreda z Zofią.

Ze szczególnych zalet powieścio-pisarskiego talentu p. Bałuckiego jest pewien wdzięk, którym otacza zwykle kobiece typy, przedewszystkiem dziewczęce. Bohaterki jego mają zwykle dużo kobiecości, a zatem prawdy. U p. Łozińskiego zupełnie inna właściwość. Maluje on daleko prawdziwiej i z widoczną predylekcyą postacie męskie i lubuje się w postaciach wybitnych swoją oryginalnością.

Przyjazd p. Modrzejewskiej do Lwowa znowu ożywił scenę naszę, po odjeździe Królikowskiego pogrążoną w zapomnieniu. Pierwszorzędny talent p. Modrzejewskiej zyskał już sobie uznanie całego kraju; teraz i Lwów przyłączył się do powszechnego głosu uznania.

Wytworna piękność ruchów w połączeniu z naturalnością, harmonijność głosu i precyzya deklamacyi, doskonałe pojęcie roli i panowanie nad nią w każdej chwili, ztąd wystrzeganie się wszelkiej przesady, wszelkiego dźwięku fałszywego — oto jest niekompletny i naprędce zebrany inwentarz przymiotów talentu pani Modrzejewskiej. Potrzeba dodać do tego szczęśliwe warunki przyrodzone, piękność rysów i postawy, ażeby dokładnie zrozumieć zapał wywoływany wszędzie pojawieniem się p. Modrzejewskiej na scenie. Pani Modrzejewska ma tylko w pięciu przedstawieniach wystąpić na scenie lwowskiej. Dotychczas widzieliśmy ją w Maryi Stuart i Starych kawalerach, w rolach Maryi i Antoniny, w rolach oddalonych od siebie całą skalą uczuć, a oddanych jednak z równą doskonałością. Zapowiedziane

trzy inne przedstawienia, w których występuje p. Modrzejewska, są Adryanna Lecouvreur (jak nam mówiono le cheval de bataille p. Modrzejewskiej) Walka kobiet i Romeo i Julia.

Z szeregu czasopism lwowskich pismo, o którem najmniej może słychać, a które zasługuje jednak na wielki rozgłos i uznanie, jest Szkoła, czasopismo poświęcone sprawom szkół wyższych. Nieobeznani z pismem mogą nie pojmować znaczenia jego nazwy. Szkoła nie jest pismem dla uczącej się młodzieży, ale jest prawdziwą szkołą dla nauczycieli i gotujących się do tego stanu. Zawiera przytem w sobie historyczne i krytyczne rozprawy, interesujące już nie samych nauczycieli, ale każdego nieobojętnego dla skarbów wiedzy.

Ci, którzy rozumieją, czem jest wychowanie publiczne dla narodu, ci, którzy pamiętają, że na młodem pokoleniu spoczywa przyszłość jego i że może być ona do pewnego stopnia owocem zabiegów i usilności nauczycielskiej, pojmą znaczenie pisma, które jest przewodnikiem na polu wychowania. Sądzimy, że zwrócenie powszechnej uwagi na to pismo przyniesie mu podwójną korzyść: zyska ono szersze poparcie i będzie miało nową dźwignię do własnego doskonalenia się.

J. T.

Ze Świata.

(Nie udawaj kawalera, kiedyś żonaty.) Sławny malarz madrycki, imieniem Morales, zaprosił pewnego dnia kilku przyjaciół i znajomych do siebie, ażeby uczcić godnie ukończenie wielkiego obrazu, przeznaczonego dla klasztoru Escurial. Goście zebrali się w jego pracowni, ale nie było pomiędzy nimi żadnej kobiety; nawet gospodyni domu, Donna Kasylda Morales, została wydaloną. Pan małżonek, chcąc zabawić się w kawalera, wyprawił ją ze służącą do jakiejś kuzynki, ażeby ten dzień przepędziła u niej. Ale była to dama zanadto ciekawa, by mogła śród takich okoliczności znieść obojętnie wydalenie z domu. Dlatego też powróciła z kuzynką jak najspieszniej, ukryła się w przyległym pokoju i przypatrywała się wszystkiemu przez dziurkę od klucza.

— „Ale czemużto przyjacielu — zapytał przy końcu bankietu jeden z gości — nie ukazała nam się Sennora Morales? Jej dowcip, piękność i uprzejmość byłyby wielce uświetniły ten festyn.“— „To pierwsze rozsądne słowo, które słyszę“ — szepnęła kuzyna. —„A, proszę cię, przyjacielu — zawołał gospodarz wychylając kielich Xeresu — nie wspominaj mi o kobietach! Cóż one wiedzą o poezyi życia? To istoty prozaiczne, całkiem prozaiczne, które nie mają pojęcia ani o sztukach ani o artystach.“—„Głupiec!“ rzekła Kasylda.—„Tak jest—mówił Morales dalej — odbierzcie im plotki, intrygi miłośne i zajęcia domowe, a nie potrafią już mówić o niczem.“—„A to bezczelność!“—rzekła kuzyna.— „Czyż kobieta rozumiałaby te żarty, tę wesołą pustotę, jaką natchnęła nas atmosfera pracowni malarskiej? Jeźli kobieta wypłata nam figla, to pewnie kosztem naszego honoru.“—„Bezwstydny!“—zawołały obie kuzynki. Ale szczęściem przygłuszyły ten wykrzyk zgrozy brzęki kielichów i wrzawa ucztujących.—„Zarozumiały głupcze!“—mówiła Donna Kasylda dalej — „Więc tobie się zdaje, że nie mogę ci wypłatać figla bez naruszenia twego honoru? O, przysięgam na Najświętszą Pannę z Atochy: dziś ostatnia noc zapustna, a nim się post skończy, zemszczę się za to niezawodnie!“

W następny czwartek prosiła swego brata, ażeby poszedł z nią na plac de la Cebeda, gdzie sprzedają rozmaite sprzęty, i kupił stare drzwi takiej samej wielkości, jak drzwi jej domu, o dziwacznych obiciach i rzeźbach. Prócz brata wciągnęła jeszcze kilka wesołych sąsiadek do tej tajemnicy.

Pewnego wieczora, gdy Morales bardzo poźno powrócił z jakiegoś klasztoru, gdzie malował kaplicę, przyjęła go Kasylda z niezwykłą uprzejmością. Ale około północy zaczęła okropnie jęczyć i krzyczeć: — „O Boże! umieram! Nadeszła moja ostatnia godzina! Zmiłuj się i przyprowadź mi prędko spowiednika, bo ginę!“ Mąż pytał przerażony, co jej brakuje?—„Matko Najświętsza!“ — jęczała — „Spowiednika! Umieram!“

Na ten krzyk przybiegła służąca, wtajemniczona również w tę sprawę, i próbowała wszelkich możliwych środków ratunku. Ale nic nie pomagało, i Morales musiał mimo woli wstać z łóżka. „Ach—rzekła Kasylda—to przewrócenie żołądka!“— „Nie — mówiła służąca — to zły ocet winien temu, którego użyliśmy do sałaty. Niedawno miałaś pani takie same boleści z octu, i wtedy pomogła pani kuma Castejona.“

Malarz łajał żonę, że nie nabrała rozumu z doświadczenia. Ale ona odrzekła słabym głosem:—„Co się stało, już się nie odstanie. Na miłość Boga, przyprowadź mi kumę Castejonę! Ona jedna zna mój temperament, ona tylko może mi pomódz. Przyprowadź ją, albo jeźli nie chcesz — zamów zaraz trumnę dla mnie!“—„Ależ moja droga,—odrzekł smutnie małżonek — kuma Castejona mieszka na drugim końcu miasta przy bramie Faccoral, a my jesteśmy w dzielnicy Lavapies. Noc chłodna i deszcz pada. Czy sądzisz, że zechciałaby przyjść, choćbym poszedł po nią? Ostatnią razą uleczyła cię teryakiem, przegotowanym z łupiną pomarańczową. Pójdę do aptekarza i przyniosą ci to. Uspokójże się i nie wymagaj, bym latał tak daleko. Byłaby to daremna fatyga, i mógłbym ściągnąć sobie tem cięższą chorobę, niż twoja.“—Ale na te przedstawienia zaczęła Kasylda jeszcze okropniej jęczyć i biadać.— „Jezu Chryste! — wołała — Otc patrzcie, jakimto czułym mężem Bóg mnie obdarzył! Możnaby myśleć, że żądam czegoś niepodobnego, że wymagam jego życia i majątku! A ja proszę go tylko, ażeby z niebezpieczeństwem zamaczania trzewików przyprowadził kumę, która może uratować mnie od śmierci. On mi i tego odmawia! Ale ja wiem, ty radbyś jak najprędzej owdowieć i stać się napowrót kawalerem; moja śmierć sprawia ci radość! Ach, jakiż to ból!—Powróć do łóżka, i spij spokojnie! Ale ja przed zgonem jeszcze oświadczę pisemnie, żeś mi zadał trucizny w sałacie. Ach, jaki ból! Księdza! Kumy! jestem otruta!“

Morales, którego stan żony istotnie zaczynał teraz niepokoić, i który obawiał się skutków jej oskarżenia, wziął z westchnieniem latarnię i gruby swój płaszcz, i poszedł po owę szanowną kumę. Na nieszczęście jednak nie wiedział, w którym domu przy ulicy Faccarol mieszkała stara. Deszcz

lał jak z cebra, żywej duszy nie było widać na ulicy, i nie pozostawało mu przeto nic innego, jak tylko przeklinać dzień swego wesela i pukać na chybił — trafił do wszystkich drzwi. Tymczasem zaś, gdy strapiony i przemokły małżonek szłapał tak po omacku, przywołała mniemana chora swego brata i kilku jego przyjaciół, którzy byli ukryci w domu, i przyrządzono, co było potrzeba. Dawne drzwi zostały zdjęte a zastąpione kupionemi, które na szczęście doskonale się przydały. Nad niemi zawieszono białą tarczę z napisem: „Dom gościnny pod papugą. Przyjmuje się na noc tak jeźdźców jak i pieszych.“ Potem przywołano kilku sąsiadów i sąsiadek, i przy dźwięku gitary i kastaniettów rozpoczął się huczny bal, przyczém dobrze jedząc i pijąc śmiano się serdecznie z błędnej wędrówki biednego małżonka. Nieszczęśliwy Morales tymczasem pukał napróżno do dwudziestu przynajmniej drzwi, pobudził ludzi i otrzymał za to wcale niemiłe podziękowanie. Zmókł do nitki, zmęczył się i zabrakło mu już cierpliwości. Gdy stanął przed swoim domem, usłyszał wrzawę i spostrzegł obce drzwi z godłem oberzy — zamąciło mu się całkiem w głowie. Przebiegł jeszcze raz całą ulicę.—„Przecież to jest ulica Lavapies — mówił do siebie — To jest dom księgarza, to krawca, to kulawego Diega, a to mój. Naprzeciwko mieszka Łukasz Moreno. Wszystkie inne drzwi są te same, tylko moje się zmieniły.“ Nalatawszy się tak dość długo, stanął znowu przed swojemi drzwiami i przeżegnał się kilka razy: „Na miłość Boga, przecież to jest mój dom! Przed godziną, gdym wychodził, była moja żona śmiertelnie chora, a teraz tańczą u mnie. Oprócz nas nie mieszka nikt w tym domu. Przy naszej ulicy nie widziałem nigdy oberzy, zkądżeby się wzięła w moim domu? Czy to sen? Przecież mam otwarte oczy i słyszę wyraźnie wrzawę i śmiechy na górze.“ Macał po drzwiach dokoła, a nieznalazłszy młotka, zaczął walić pięściami z całej siły. Tancerze udawali, że nie słyszą, on pukał coraz gwałtowniej. Nakoniec otworzył okno jakiś mężczyzna i zawołał:—„Hej, kto się tam tak tłucze? Tu nie ma już miejsca: Idźcie gdzie indziej; niech was Bóg prowadzi!“— „Ale ja się chcę dostać do mego domu.“—„Mój przyjacielu, o tej godzinie nie wpuszczamy nikogo.“—„Do pioruna! przecież to mój dom, który kupił Diego Morales, mój ojciec!“—„Mnie się zdaje, że wam się pomieszało w głowie, i ta zimna kąpiel na dworze wcale wam nie zaszkodzi. Idźcie swoją drogą i przestańcie się tłuc; inaczej spuszczę psy z podwórza, a wtedy oddajcie się Bogu. Dobranoc.“

Przy tych słowach zamknął okno, i biedny malarz usłyszał głośny śmiech z domu. Deszcz lał ciągle jeszcze, światło w latarni jego zgasło; zaczął nanowo pukać. Po chwili dał się słyszeć głos wewnątrz: „Antonio, spuśćno psy z podwórza, weź kija i przetrzep tego pijaka porządnie.“ Istotnie otworzyły się drzwi, i ukazał się mężczyzna z tęgim kosturem, prowadząc dwa psy za sobą.—„Ty łotrze przebrzydły! — zawołał — czego się tłuczysz? Nie mówiłem ci, że już nie ma miejsca?“—„Ależ mój przyjacielu, ten dom jest moją własnością, i nie pojmuję jakim sposobem diabelskim zamienił on się w oberzę. Jestto ten sam dom, który odziedziczyłem po moim ojcu, Diego Morales.“ —„Biedny człowieku, to jakiś szał was ogarnął. Ja tu dokoła nie znam żadnego Moralesa.“—„Jestem malarz, którego zna całe miasto; od dwudziestu lat mieszkam w tym domu. Przywołajcie tylko Kasyldę, moję żonę, a jeźli nie została ona przemienioną w oberzystkę, to wyprowadzi mnie z tego obłędu.“ „Jakżeż to być może, kiedy ten dom jest od sześciu lat sławną oberzą? Pan nazywa się Pedro Carasar, gospodyni Marya Perez, a ja jestem Antonio, parobek. Teraz idzcież z Bogiem, i nie róbcie hałasu, inaczej ten kostur przywiedzie was do rozumu.“

Biedny malarz zawlókł się z ściśnionem sercem do jednego z swoich przyjaciół. Była godzina czwarta zrana. Ów przyjaciel sądził, że malarzowi wydarzyło się jakie nieszczęście, i otworzył mu spiesznie. Ale gdy Morales opowiadał mu swoję smutną przygodę, wstrząsał głową z niedowierzaniem. Tymczasem rozpalił ogień, ażeby osuszyć przemokłe suknie malarza, i radził mu, ażeby się przespał, gdyż był pewny, że Morales zanadto zaglądał do butelki. Nazajutrz utrzymywał jednak artysta, że jego powieść była najprawdziwszą w świecie, i przyjaciel, który rad był zobaczyć dom zaczarowany, odprowadził go. Ale godło oberzy zniknęło, drzwi były te same, co dawniej, i nie było widać żadnej zmiany.

— „No Morales — rzekł przyjaciel — przyznaj się teraz, że wczoraj miałeś w czubku, i nie chciałeś w takim stanie powrócić do domu“. — „Ależ daję ci słowo, że mówiłem prawdę“.—„Ot, niepotrzebnie się wypierasz; przecież nie jestto nic złego, upić się czasem“.

Gdy Morales zapukał, zbiegła jego służąca napół ubrana, i rzekła: „Jakżeż pan mógłeś przepędzić całą noc za domem i bawić się, gdy tymczasem żona pańska walczyła ze śmiercią?“— „Fe, szkaradnie, panie Morales! — zakrzyczało zpół tuzina sąsiadek — Powinienbyś pan się wstydzić; masz żonę — anioła, a zostawiłeś ją w nieszczęściu bez pomocy“. — „Gdzież to pan byłeś? — krzyczały inne — W którymto szynku raczyłeś się z twoimi koleżkami? Gdybym miała męża, któryby chciał udawać kawalera, podałabym zaraz o rozwód“. — „Ja też to zrobię — rzekła Kasylda, schodząc powoli i widocznie zmęczona tańcem. — Tyś sądził, żem już umarła, i chciałeś przetrwonić mój posag; ale dzięki tym dobrym sąsiadkom żyję jeszcze“. — „Kochana żono, — rzekł Morales — powinnabyś mnie żałować, nie łajać“.

I po tych słowach chciał opowiedzieć swoję przygodę, ale nikt go nie słuchał.—„Schowaj pan swoje żarty dla innych— wołano — my nie jesteśmy tak głupie, byśmy im wierzyły. Lepiej wyznaj pan prawdę: spotkałeś kilku znajomych trutniów, i ci zaciągnęli pana ze sobą. Przyznaj się pan, to będzie najlepiej, i proś o przebaczenie“.

Biedny Morales nie miał w końcu innego wyboru, Wyśmiany przez całe sąsiedztwo zdecydował się naostatek prosić o przebaczenie, i otrzymał je pod warunkiem, że nie będzie nigdy więcej odgrywać roli kawalera. — Jakżeż sądzicie, szanowne małżonki, czy słuszna była kara?...

(Życie uliczne w Chinach.) Ktokolwiek z Europejczyków po raz pierwszy zwiedza miasto chińskie, przypomnie sobie mimowolnie owe pstre filiżanki, owe dziwacznie pomalowane pudełka z herbaty, jakie widywał w domu; tu bowiem przybierają te malowidła ciało, owe dziwaczne postacie poruszają się i żyją, owa szalona architektura staje się doty-

kalną rzeczywistością. Każda gałąź zarobkowania prowadzoną bywa pod gołem niebem. Najliczniej reprezentowane jest balwierstwo, którego cały przyrząd artystyczny składa się ze stolika o trzech nogach, pudełka z brzytwami, miseczki z mydłem i stołka polowego. Nadarza się ktoś do ogolenia: natychmiast zdejmuje artysta z grzebietu swój przyrząd golarski i zmusza gościa do siedzenia. Potem wycina najprzód kółko z papieru, tak duże, jak obwód warkocza u klienta; to kółko przyciska mocno do głowy, ostrzyga dokoła włosy nożyczkami, robiąc niejako rów graniczny, a potem namydla całą głowę. Po ogoleniu głowy zaplata kosę z długiemi nitkami czarnego jedwabiu, i — warkocz gotowy wisi z tyłu aż do pięt. Potem podnosi do góry powieki i wyciera je ze spodu (co zapewnie sprawia bardzo przyjemne uczucie), a w końcu wyskubuje małemi obcążkami nieliczne, rzadkie włosy z brody. Na starych malowidłach chińskich przedstawiony jest Chińczyk zawsze z długą brodą; ale te czasy minęły już; od zdobycia państwa niebieskiego przez Tatarów zmieniła się bardzo rasa, i zarost na brodzie znikł prawie całkiem.

Przyjemniejszy widok przedstawia handlarz kwiatów. Siedząc na bruku naciąga on swoje kwiatki na druty, i układa z nich szybko piękne bukiety. Do najuiubieńszych kwiatów należą astry wszelkiej barwy, szamowe róże, jaśmin, kwiat pomarańczy i heliotrop. Jakkolwiek prozaiczni są Chińczycy, nie można im przecież odmówić pewnego smaku; najbiedniejsza praczka, niosąc wypraną bieliznę, przystraja zawsze swój kosz w wiązankę świeżych kwiatów.

Trzecią, licznie reprezentowaną osobistością, jest restaurator chiński, który już za centa sprzedaje swoim gościom sporą filiżankę wybornej herbaty, rozumie się bez cukru i mleka. Prócz tego sprzedaje on rodzaj placka, który sporządzany bywa w oczach gościa i bardzo jest smaczny. Większa część cudzoziemców nie troszczy się jednak o podobne przysmaki krajowców, i nie wie też przeto, jak dobre są one, chociaż sporządzanie ich nie wymaga wielkiego zachodu.

Nawet jubiler ma swój kram na ulicy, ale już stały, gdyż rzadko go przenosi w inne miejsce dla ciężkości skrzyń swoich. Najczęściej sprzedaje on kolczyki i braseletki z pstrego jaspisu, których wartość zawisła od siły i czystości koloru. Chinka nosi takie ozdoby przez całe życie i zostawia je dzieciom i wnukom. Sklepy z towarami jedwabnymi są nieco podobne do europejskich, ale nie mają okien, i tylko przez drzwi ciągle otwarte wpada do nich światło.

Chińczycy są namiętnymi graczami, i z prawdziwą rozkoszą oddają się hazardowi rozmaitych gier, nęcących złudną nadzieją lekkiego zysku. Istnieją wprawdzie ustawy, zakazujące grę hazardową, ale nikt na nie nie zważa, a w dnie świąteczne zgoła nie mają one już żadnej mocy. Wtedy to widzieć można po ulicach liczne stoliki do gry, utrzymywane często przez małych chłopców, którzy wynajmują je graczom do użytku za małe wynagrodzenie. Nawet w świątyniach, tuż obok wizerunków bóstwa, stoją w dnie świąteczne długie szeregi stolików, otoczone hałaśliwymi graczami, którzy wykrzykują głośno liczbę rzuconych kostek. Najbardziej lubią Chińczycy Domino, w które grają prawie tak samo, jak my, wyszukując sobie do tego wygodne miejsce na ulicy.

Bez kuglarza nie może się obeść żadna ulica. Nie ma on żadnego przyrządu, ani stołu ze skrzyniami, ani naczynia z podwójnym dnem i t. p., i właśnie dlatego mają sztuki jego nieraz urok czarodziejstwa. Jedna sztuka szczególniej zasługuje na wzmiankę: Artysta bierze gładką, białą tabliczkę drewnianą, na której nic nie widać, i pyta się, jaki kwiat ma wymalować na niej? Żądają rózy. Artysta bierze szczotkę, na której nie ma ani śladu farby, pociera nią kilka razy płytę, i wnet pojawia się na niej najpiękniejsza róża z liśćmi i pączkami, jaką tylko zręczna ręka wymalować potrafi. A gdy się dokładnie już przypatrzono, posuwa ręką po tablicy, i — obraz znika bez śladu, ustępując miejsca innemu kwiatowi, żądanemu przez widzów, który zjawia się w taki sam sposób. Do niemniej ciekawych należy sztuczka z nasieniem, z którego w oczach widza wyrasta roślina, zakwita i wydaje owoc; co wszystko odbywa się z tak wielkiem złudzeniem, że człowiek patrzy i własnym oczom nie dowierza, nawet wtedy, gdy już trzyma w ręku owoc dojrzały, i niezwykły wcale o tej porze roku, w której został uzyskany.

Wszystkie towary, paki i skrzynie noszą Chińczycy na plecach, gdyż nie znają one wcale taczek. Wodę i napoje nalewają w naczynia, które noszą zawieszone na kijach. Dlatego też niepodobna prawie cudzoziemcowi iść pieszo ulicami, nie mającemi częstokroć więcej jak 5 — 6 stóp szerokości. Zwyczajnie więc używają cudzoziemcy lektyki, którą niesie dwóch a jeżli droga jest przykra, nawet czterech ludzi.

Jest też wszędzie niesłychanie wiele ław rzeźnickich, które dość pstro wyglądają, gdyż rozłożone są na nich wszelkiego rodzaju mięsiwa. Wołowina, wieprzowina, suszone ryby, ostrygi, kury i kaczki, żywe ryby i żabie udka spoczywają tu w słodkiej harmonii. — Rzadko kiedy kończą się kłótnie uliczne bijatyką lub zabójstwem, jak u Malajów. Przeciwnicy hańbią się porządnie, czasem kilka godzin, a potem rozchodzą się do domu spokojnie, chociaż z ochrypniętem gardłem. Przez okna pomieszkań można swobodnie zaglądać do izby; nie ma żadnego przedsiębiorstwa, żadnego zatrudnienia, z któremby zwyczajny Chińczyk potrzebował ukrywać się przed oczyma ciekawych. — Procesye i wystawne pochody lubią Chińczycy nadewszystko, i wyprawiają też ich łącznie z pochodami pogrzebowymi i weselnymi więcej, niż którykolwiek inny lud na świecie. Częstokroć bywają wąskie ulice takimi pochodami zupełnie zatarasowane. Wszystkie cechy wyprawiają kosztowne procesye z jedwabnemi, złotem haftowanemi chorągwiami na cześć swoich rozmaitych patronów; wszyscy są przy tem wystrojeni; większa część niesie olbrzymie latarnie; muzyka wrzaskliwa rozdziera uszy, a palone bez ustanku ognie sztuczne drażnią nerwy przechodzących. — Puszczanie orła papierowego należy także do najulubieńszych rozrywek Chińczyków; są one rozmaitego kształtu, okrągłe, kończaste, a nawet podobne do księżyca z wielką paszczą, która kłapie za każdym powiewem wiatru.

Na większych placach znajdują się budy teatralne, najczęściej w wysokości czterech stóp nad brukiem, i ze wszech stron otwarte. Sztuki bywają nieraz tak długie, że potrzeba kilku przedstawień, ażeby je wygrać do końca. Kobietom grać niewolno, i role damskie muszą grywać mężczyźni przebrani

za kobiety. Niedorzeczność wielu sztuk przechodzi wszelką miarę. Okrutny ojciec, zazdrośna żona, fałszywy spadkobierca, wujaszek, który niespodzianie powraca jako milioner do kraju — oto zwyczajne ingredyencye, z których się fabrykują komedye chińskie, z potrzebną przymieszką muzyki, działającej straszliwie na nerwy. Ale spokojny i stateczny Chińczyk zadowalnia się tem zupełnie, jak wszystkiemi innemi rzeczami.

(Angielski Krezus.) Zmarły w zeszłym roku w Londynie margrabia Westminster, który urodził się w r. 1795 i pochodził ze starej normandzkiej familii, pozostawił tak wielki majątek, że nawet w przybliżeniu niepodobna go sobie wyobrazić. Do niego należała z pewnością trzecia część Londynu, a roczne dochody jego wynosiły do 8 milionów talarów, którato suma w przeciągu trzydziestu lat mogła się potroić, jeżeli weźmiemy miarę z tego, jak dziś podnosi się wartość domów i gruntów w Londynie. Ale margrabia Westminster nie używał wcale swoich bogactw do uprzyjemienia sobie życia, gdyż był skąpym aż do brudoty, i nieraz odmawiał sobie samemu najpotrzebniejszych rzeczy, ażeby tylko dogodzić swej żądzy zbierania skarbów. Nie znał on też naturalnie uczucia dobroczynności, i niejednego nieszczęśliwego, który błagał go o wsparcie, odepchnął z największą brutalnością. Skąpstwo jego posuwało się aż do śmieszności; tak pewnego razu dawał w swoim pałacu w Eaton-Hall wielki obiad, na który sprosił najpierwszych dygnitarzy państwa i najznakomitszą szlachtę, a jednak obejmował spis tylko następujące potrawy: bulion ze skopowiny, baranina z sosem kaparowym, ryba morska i sér z Chester; — zaprawdę wspaniały obiad na takiego Krezusa! Przy tem wszystkiem miał on jeszcze jednę słabość, mianowicie lubił się chełpić swojem bogactwem, ozłacając tem niejako swoję nicość; gdyż chociaż był członkiem parlamentu, odgrywał przecież bardzo poślednią rolę w świecie politycznym. Tak w roku 1814, gdy bank angielski wydał dwa banknoty, każdy na 500,000 funtów szterlingów, on nabył z nich jeden i zawiesił w ramach w swoim gabinecie, gdzie kapitał ten zostając bez użytku przez 55 lat przyprawił go o stratę kilku milionów w procentach. Każdego gościa prowadził z wielką ostentacyą przed ten szczególny obrazek w nadziei, że usłyszy z ust jego okrzyk podziwienia z powodu niezmiernego swego majątku. Przy takiej to sposobności powiedział mu pewnego razu Książę Bedford: „Gdybyś tylko, Milordzie, posiadał równie tyle dowcipu i znajomości życia, co majątku, jakimże nieocenionym skarbem byłbyś wówczas dla Anglii!“

(Co kto lubi.) Flegmatyczny Anglik, gdy mu przyjdzie gust odebrać sobie życie, obiera na to z całą przytomnością umysłu dzień mglisty, idzie do lasku i wiesza się na drzewie; elegancki Francuz przeciwnie — woli dzień pogodny, siada w pokoju na sofie i zabija się strzałem z ozdobnego pistoletu w serce; gdy tymczasem poważnemu Amerykaninowi nie wystarcza już mały pistolet; musi on mieć koniecznie rewolwer, i łaje jeszcze przytem, że ziomkowie jego nie postąpili dalej w wynalazku armatek kieszonkowych. Pomiędzy szczepami romańskimi w południowej Europie jest tylko Hiszpan, który z pewną odwagą — jeźli można mówić o odwadze przy samobójstwach — przeszywa sobie serce sztyletem; współplemieńcy zaś jego Włosi i mieszkańcy Księstw Naddunajskich przenoszą działającą szybko truciznę. Mazułmanin, który odrobinę swojego rozumu postradał dawno w swoim haremie, wsiada do ciepłej kąpieli i otwiera sobie żyły, gdy przeciwnie północny sąsiad jego, Moskal, woli tęgo się upić a potem zamrozić. Tylko Niemiec, kosmopolita w całem znaczeniu, nie obmyślił sobie dotąd właściwego rodzaju śmierci, lecz jak we wszystkiem innem — naśladuje i w tem zagranicę.

Całkiem odmienny rodzaj samobójstwa, bo popełniany nie z rozpaczy lub melancholii, lecz z wyrachowanej zemsty, spotkać można pomiędzy ludnością niewolniczą w Ameryce. Tak na przykład zdarzało się już kilkakrotnie, że niewolnicy murzyńscy w Brazylii truli się umyślnie, ażeby zniszczyć okrutnego pana swojego. Zdaje się to być niepodobnem do prawdy, a przecież stwierdzają ten fakt wiarogodne z kilku stron doniesienia. Tak między innemi nie mógł się wydziwić proboszcz pewnej małej parafii w prowincyi Minas-Geraes, że codziennie przynosili tam niewolnicy sąsiedniej plantacyi kilka mar z trupami murzyńskimi; codzień inni nieśli te mary, i z przerażeniem poznawał kapłan dziś trupy tych, którzy wczoraj nieśli. W końcu spytał o przyczynę tego szczególnego spostrzeżenia, i otrzymał z dzikim uśmiechem odpowiedź: „Jutro nas przyniosą.“ I tak było istotnie: Murzyni oburzeni do najwyższego stopnia niegodziwością plantatora, postanowili zniszczyć go równie szczególnym jak okropnym sposobem; ażeby ten cel osiągnąć, musieli wszyscy umrzéć, ale cóż znaczy życie u takiego murzyna? Niewolnicy spełnili swoje postanowienie, i w przeciągu czternastu dni był ów okrutny plantator zrujnowany.

(Chińskie ceremonie żałobne.) W San Francisco umarł niedawno dość zamożny kupiec chiński. Ponieważ dla szczupłości miejsca nie mógł się obrzęd żałobny odbyć w jego pomieszkaniu, uproszono u władzy miejskiej pozwolenie użycia na to jednej strony ulicy. O świcie dnia wyznaczonego wystąpił na ulicę jakiś mężczyzna w ubiorze kapłańskim, i trąbił olbrzymim rogiem na cztery strony świata. Za nim wyszli inni, którzy dzwonili w dzwony, a potem ukazało się sześciu żałobników w bieli, z białemi kapturami na głowie, i pięć płaczek z włosami na wiatr rozpuszczonemi. Trumnę, okrytą czerwonem, białem i zielonem suknem, ustawiono przed drzwiami domu, i żałobnicy z płaczkami obchodzili ją kilkakrotnie zawodząc głośno i wymachując rękoma w powietrzu. Potem przykucnęli dokoła trumny, czołem prawie dotykając ziemi, i w tej postawie zostawali przez kilka godzin. Obok rozłożono tymczasem „ofiary“ na czterech stołach, mianowicie; pięcioro pieczonych prosiaków z pozłacanemi uszyma i ryjakami; trzy barany na wielkich patelniach; kury ozdobione pstrym lukrem, którym powtykano w łapy dzidy, sztylety i laski czarodziejskie; dalej ogromne raki morskie, oblepione srebrnym i złotem papierem, piramidy z owoców i placki, przedstawiające rozmaite zwierzęta i ptaki, stosy świec, paski złotego i srébrnego papieru, i rozmaite kadzidła. Około południa wyszła siwowłosa kobieta z domu, rzuciła garść złotego i srébrnego papieru na bruk i podpaliła go, a trzy inne kobiety rzucały małe obrazki świętych w płomień. Po tem wszystkiem dopiero wyruszył kondukt żałobny na cmentarz.

(Osobliwszy pojedynek.) Przed rozpoczęciem amerykańskiej wojny o niepodległości panowało między angielskimi i amerykańskimi oficerami zawistne naprężenie. Pewien major angielski, który miał urazę do kapitana (a poźniej jenerała) Putnama, posłał temu wyzwanie na pojedynek. Ten jednakże, zamiast odpowiedzieć wprost na to wyzwanie, upraszał wprzód o rozmowę. Anglik czyniąc zadość tej prośbie udał się do namiotu Amerykanina i zastał go siedzącym spokojnie z fajką na małej beczułce. „Jestem nędznym Jankeesem — ozwał się Putnam — i nigdy jeszcze w życiu nie strzelałem z pistoletu. Pojmiesz pan tedy, że w pojedynku na pistolety miałbyś pan niezmierną przewagę nademną. Ale widzisz pan te dwie beczułki z prochem? Wydrążyłem w każdej z nich dziurkę i kazałem powtykać lunty. Chciejże pan usiąść z łaski swojej na tej drugiej beczułce; ja każę pozapalać lunty, a kto zdoła wysiedzieć dłużej nie drgnąwszy ani razu, wyjdzie jako zwycięzca z tego pojedynku.“ W namiocie było pełno oficerów, których ubawił ten dziwaczny pomysł starego wilka (jak zwykle nazywali Putnama), i majorowi angielskiemu nie pozostawało nic innego, jak tylko przystać na tę propozycyą. Dano znak. Putnam palił z największą obojętnością swoję fajkę, nie troszcząc się wcale o tlejący coraz dalej lunt; gdy przeciwnie Anglik, chociaż mu nie zbywało na odwadze, nie mógł się powstrzymać, by nie spoglądać co chwila z pewną niespokojnością na swój lunt. Widzowie oddalali się jeden po drugim z niebezpiecznego obrębu oczekiwanej explozyi, i zapaśnicy pozostali sami. Nakoniec, gdy ogień tylko kilka cali jeszcze był oddalony od beczułki, nie mógł major wytrzymać dłużej; zerwał się, zgasił swój lunt i zawołał: „Ależ to rozmyślne morderstwo, panie Putnam! Wyciągnij pan swój lunt, ja ustępuję.“—„Zwolna, zwolna, panie majorze—odrzekł tenże powstając spokojnie—nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa, bo beczułki są napełnione tylko — cebulą.“ To mówiąc podał rękę majorowi; ale można sobie wyobrazić, z jakiem uczuciem ten go pożegnał.

(Najnowsze mody.) Z Paryża donoszą: „Najmodniejszą w tym roku jest barwa brunatna, kasztanowata; wszystko jest brunatne: suknie, kapelusze, płaszcze, nawet powozy; damy wyglądają jak mniszki średniowieczne. Nowa ta barwa nazywa się: „Suffrage universel“ (powszechne głosowanie), zapewnie dlatego, iż w tym roku wszystko się koncentruje w polityce; duch czasu objawia się w najdrobniejszych rzeczach. Nowa moda kapeluszy tyczy się tą razą panów: kończaste kapelusze tyrolskie, noszone od jakiegoś czasu, sprowadziły inne dziwactwo; nie używają już do ozdobienia tych kapeluszy piór kogucich lub pawich, lecz skrzydeł papuzich, główek szczygłów lub kolibrów; do żałoby służą pióra kosa lub kruka; lekką żałobę reprezentują jaskółki lub sroki. Pewien kapelusznik przy bulwarach wpadł nawet na pomysł połączenia z tą ozdobą maszyneryi, która naśladuje głos dotyczącego ptaka; dość jest ruszyć czołem, ażeby wprawić w ruch tę maleńką maszynę. Przezto można oszczędzić sobie trudu zdejmowania kapelusza; znajomi spotkawszy się potrzebują tylko zmarszczyć czoło, ptak zakrzyczy, i — przywitanie skończone“. — Nie jestże to pomysł jenialny? Kapelusznik ten godzien zaprawdy posągu!

(Broda Mohameta.) W Indyi, po tej stronie Gangesu, żyje do 20 milionów Mohametanów, których fanatyzm religijny dochodzi do najwyższego stopnia. Mają oni mnóstwo miejsc odpustowych, do których odbywają tłumne pielgrzymki o pewnym czasie. Najciekawszém z tych miejsc odpusowtych jest bez zaprzeczenia Kuddapah. Znajduje się tam przepyszny pomnik, wzniesiony na cześć bardzo drogiej dla Mohametanów relikwii w r. 1720: a tą relikwią był włos z brody proroka, który przechowywano tam w złotej skrzyneczce. Mohamet miał zwyczaj, w ciągu rozmowy z przyjaciółmi i powiernikami głaskać się po brodzie, a jeźli przytem wypadł jaki włosek, chwytali go jego uczniowie i chowali starannie. Ztąd pochodził także ów włos w Kuddapah. Złotą skrzynką, w której był złożony, miała nakrywkę z małemi dziurkami, przez które wlewano tam co roku nieco wody. Była to wielka uroczystość, która ściągała ze wszech stron niezliczone tłumy pielgrzymów. Gdy sławny Hyder Ali zdobył Kuddapah, przywłaszczył on sobie ten włos i zabrał go do Seringapatamu, gdzie znajdował się aż do zajęcia tego miasta przez Anglików. Od tego czasu nie wie już nikt, co się stało z tą relikwią. Wszystko to jednak nie przeszkadza prawowiernym odbywać ciągle jeszcze pielgrzymki do pomnika w Kuddapah, by oddawać cześć swoję nieistniejącej tam już cząsteczce brody Proroka.

(Chiński prałat i fabrykant parasoli.) Teraźniejszy sobór sprowadził między innymi do Rzymu także biskupa chińskiego, mianowicie ks. Ludwika Faurie, apostolskiego wikaryusza z Kony-Czeou, który jest rodem z Bordeaux, a od 19 lat przebywa w Chinach. Ks. Faurie otrzymał wykształcenie swoje w zakładzie misyonarzy zagranicznych w Paryżu i powrócił teraz z powodu soboru po raz pierwszy do Europy. Biskup ten nosi długie, czarne faworyty i wąsy à la kardynał Richelieu, a na głowie pleciony warkocz na wzór „synów państwa niebieskiego.“ Oprócz chińskiego ubrania głowy przywdział prałat także kostium chiński, na którym nosi krzyż złoty. Faurie założył w Chinach dom przytułku dla sierót, o którego utrzymanie musi się sam starać. Ponieważ tedy koszta utrzymania tego zakładu są bardzo znaczne, a biskup nie jest milionerem, więc rozpoczął on przedsiębiorstwo przemysłowe i stał się fabrykantem parasoli. Fabryka jego rozwija się coraz świetniej, i dziś już zatrudnia znaczną liczbę robotników.

(Drzewo dziewicy.) W pobliżu Kairu, w Abassyi, znajduje się drzewo, którego wiek równa się prawie erze chrześciańskiej, gdyż w cieniu jego spoczywała Najświętsza rodzina po trudach ucieczki do Egiptu; i dlatego nazwano to drzewo „Sykomorą“, t. j. drzewem dziewicy. Ta osobliwość świata roślinnego jest własnością cesarzowej Eugenii. Wicekról Egiptu ofiarował jej to drzewo w podarunku, gdy podczas wystawy powszechnej był z wizytą na dworze francuskim, kupiwszy oraz grunt, na którym Najśw. Panna niegdyś pod tem drzewem spoczywała, od jego właściciela — konzula francuskiego — za 350,000 franków. Jestto więc z każdego względu drogi podarunek.

(Czy opłaci się żyć?) Statystyka staje się coraz nieznośniejszą umiejętnością, gdyż miesza się do wszystkiego, i to co dawniej miało urok dla człowieka—zamienia w zimne, suche cyfry. Tak obliczył znowu jeden z jej zwolenników, że

człowiek — jeźli żyje 50 lat, przepędza 6,082 dni na spaniu, 520 na różnych słabościach, 1532 na pracy, 761 na chodzeniu, a 3803 na zabawach. Nie mniej jak 1552 dni potrzebuje człowiek do utrzymania swego życia, to jest do jedzenia i picia. Ale nie koniec na tem; statystyk idzie dalej i powiada nam jeszcze, ile jemy, mianowicie: 1354 funtów chleba, 6081 funtów mięsa, 4672 funtów jarzyny, jaj, ryb i t. p. A do przegotowania tego wszystkiego w żołądku i do ugaszenia naszego pragnienia potrzebujemy 6930 kwart płynów. Jakieżto żarłoczne zwierzę — ten człowiek!

(Zguba tytuniowi.) W Paryżu istnieje towarzystwo, którego celem jest zniesienie tytuniu i tabaki, a do którego należą między innymi marszałek Mac-Mahon i znany fejletonista i redaktor dziennika „Cloche“, Ludwik Ulbach. Towarzystwo to utrzymuje, że brak energii, jaki jego zdaniem okazuje teraźniejsza generacya, jest skutkiem powszechnego palenia tytuniu, i nie widzi innego sposobu, by ochronić ludzkość od ogłupienia i nieudolności, jak tylko zniszczenie tytuniu.

(Ciekawe wyścigi.) Dwie młode damy w Princeton (Ilinois) przyjęły zakład, że w przeciągu dwudziestu godzin bez przerwy ubiegną pieszo 30 mil angielskich ($16 \frac{1}{3}$ mil niemieckich). Nagroda wynosiła 100 dolarów, i obie szybkonogie piękności, córki pewnego zamożnego dzierzawcy, wygrały ją, stanąwszy u mety jeszcze przed upływem naznaczonego czasu.

(Fraszki.) Na parostatku kompanii Hudsońskiej nie mógł dozorca dać sobie rady z dwiema damami, które bez ustanku go wołały i niepokoiły. — „Panie dozorco — krzyczała jedna — to do niewytrzymania; otwórz pan okno, bo się uduszę z gorąca!“ — Okno zostało otworzone; ale wnet poczynała krzyczéć druga: „Na miłość Boga, panie dozorco, zamknij pan okno, bo zginę od przeciągu!“ — Dozorca był posłuszny i musiał tak przez dłuższy czas otwiérać i zamykać okno. Wreszcie zbliżył się do niego jeden z podróżnych, który dotąd przypatrywał się spokojnie tej scenie, i rzekł: — „Panie dozorco, ażybeś pan miał spokój i my, zostaw najprzód okno tak długo zamkniętem, aż jedna się udusi, a potem otwórz je i pozbądź się tym sposobem drugiej.“

Dwóch Irlandczyków, którzy zamordowali właściciela wsi, skazał sąd przysięgłych w Dublinie na śmierć przez obwieszenie. Na zapytanie prezydenta, czy mają co przeciw wyrokowi przysięgłych, ozwał się jeden ze skazanych: „Jabym miał dwie prośby do pana prezydenta.“ — „Jakieżto?“ — „Każ WPan mego kolegę naprzód powiesić.“ — „A druga prośba?“ — Życzyłbym sobie, ażeby mnie moja żona wieszała; gdyż najprzód zrobi ona to delikatniej niż kat, a powtóre zarobi na tem tyle, że będzie mogła zapłacić swoje długi.“

Stanisław August, spostrzegłszy na pokojach zamkowych nieznanego sobie szlachcica, który stojąc na uboczu trwożnie poglądał dokoła, chciał go ośmielić swoją uprzejmością, i zbliżywszy się do niego zapytał go jakby z niechcenia: „Czy nie widziałeś waszmość starosty Morskiego?“ Pomieszany szlachcic pytaniem króla, a nie znając nawet z imienia dygnitarza, o którego go pytano, odpowiada drżącym głosem: — „Najjaśniejszy Panie! W moich podróżach widziałem już psa morskiego i świnię morską, ale starosty morskiego jeszcze nigdy widzieć mi się nie zdarzyło“.

— „Mamo, czy ciocia Zosia ma pszczoły w gębie?“ — pytał chłopaczek swojej matki. — „Nie, moje dziecię; ale czemuż pytasz o to?“ — „Ponieważ pan porucznik przyciskał ją wczoraj do siebie i mówił, że chce ssać miód z jej ust; a ciocia Zosia nastawiła mu usta i rzekła: „To ssijże, tylko prędko!“

Humoreska.



On: Kocham cię i przepadam za tobą!
Ona: Przyjm więc moję radę.
On: Słucham cię, najdroższa!
Ona: Zmień szyk uczuć Twoich: Przepadnij wprzód a potem kochaj.

Szarada.

Pierwsze z trzeciem Arabia wydaje;
Drugie z trzeciem jest przymiotnik mały,
Który jednak — gdy przy rzeczy staje —
Da jej urok lubo krótkotrwały.
Pierwsze z jedną literą sąsiada,
I z dodatkiem trzeciej całej zgłoski,
Cudne kwiaty na barkach rozkłada,
I zwierzęta i lasy i wioski.
Całość — nazwisko — głośno w Włoszech brzmiało,
Bo do sławnego męża należało.

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.